

HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

MAJ 2023/3

magazynhisteria.pl



CIEŃ ZAMKU ZNAD RODANU
DUCH ROZKOSZY
MIGA MI
MOJE WŁASNE NIEBO
PRZYSŁUGA
SEANS
ZABAWY W PIWNICY
ZROZUMIEĆ PANA

SPIS TREŚCI:

CIEŃ ZAMKU ZNAD RODANU	Szymon T. Cwen	3
DUCH ROZKOSZY	Justyna Bendyk	13
MIGA MI	Iwona Matacz	23
MOJE WŁASNE NIEBO	Michał Antosiewicz	28
PRZYSŁUGA	Monika Godlewska	45
SEANS	Mariusz Kaszyński	57
ZABAWY W PIWNICY	Iwona Serej	68
ZROZUMIEĆ PANA	Feranos	75

Redaktorzy naczelni: Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

Okładka: Joanna Widomska

Skład: Maciej Zawadzki

Ilustracje: Michał Antosiewicz, Ilona Bielicka, Halmar, Maciej Klimek,
Krzysztof Kowalik,

Korekta: Aleksandra Knap, Magdalena Paluch

email: magazynhisteria@gmail.com

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.



CIEŃ ZAMKU ZNAD RODANU

Szymon T. Cwen

Nasz los jest ciągiem etapów, których sensu nie potrafimy zrozumieć.

Paulo Coelho, Piąta góra

I

Usiadł z trudem na łóżku, pokrzepiony tamtejszym winem. Patrzył na ceglane ściany i zwieńczający je nieotynkowany strop, ciesząc nimi wzrok.

- A więc mówisz, że znaleźliście mnie na plaży? – spytał, jakby nie dowierzał.
- Tak. Moi słudzy najpierw myśleli, że nie żyjesz – odparł mężczyzna stojący obok. Był starszy i na jego twarzy zaczęły już wylaniać się tego oznaki. – Co robiłeś na morzu?
- Jakim cudem uniknąłem śmierci? – powiedział jakby do siebie, ocierając czoło zroszone potem. – Płynąłem do Barcelony, gdy nagle nawiedził nas sztorm. Takiej siły nigdy nie widziałem i powinienem dziękować Bogu, że przeżyłem.
- To może później – rzekł ten drugi. – Po co płynąłeś do Barcelony?
- Miałem służyć u króla Aragonii. Dla mnie, byle adepta alchemii z Florencji, była to nieprawdopodobna szansa. Gdzie teraz jestem? Zdaje się, że mówicie po prowansalsku.
- Tak. Jesteś teraz w Prowansji, w moim zamku. Zwań mnie Pèire.
- Ja mam na imię Benedetto. Jak już rzekłem, jestem z Florencji...
- Pomogę ci, przyjacielu. Czym prędzej napiszę list do Ferdynanda II z wieścią o twojej przygodzie – oznajmił. – Poczekamy na jego odpowiedź.
- Naprawdę? Bardzo ci dziękuję, Pèirze, jesteś dobrym człowiekiem.
- Chciałbym, Benedetcie, zaproponować ci, abyś podczas swojego pobytu pomógł mi nieco swoimi umiejętnościami.
- Jak miałbym to zrobić? – zdziwił się Benedetto.
- W podziemiach tego zamku jest stara pracownia alchemiczna. Mógłbyś tam zrobić dla mnie kilka roztworów na czarną godzinę.
- Młodemu alchemikowi zabłyśły oczy na samą myśl o czynieniu swojej sztuki, bowiem długo nie stał przy alchemicznych instrumentach.
- Oczywiście, zajmę się tym, lecz najpierw muszę iść do kościoła, by podziękować Bogu za to, że uratował mi życie.
- Spokojnie. Nie widzisz, przyjacielu, że za oknem świeci już księżyc? Jutro zajmiesz się tym wszystkim, a teraz czas jest na sen.

II

Jak się okazało, pracownia alchemiczna w podziemiach zamku była całkowicie ogołocona z jakichkolwiek składników, więc Benedetto musiał zebrać zioła przed rozpoczęciem jakiegokolwiek pracy, ponadto Pèire przedstawił mu, jakich wytworów by pragnął. Wpierw młodzieniec jednak postanowił, że uda się do kościoła, tak jak obiecał poprzedniego dnia. Pèire z pewną niechęcią powiedział mu, jak dostać się do najbliższej świątyni. Pieszna droga

florentcykowi zajęła około godziny. Sprzyjało temu przyjemne, bezchmurne niebo i lekki, orzeźwiający wiatr.

Tamtejszy kościół był typowym wybudowanym w już dawno porzuconym stylu romańszczyzny. Jego grube mury wzniesiono z barwionego kamienia, którego naturalny, jasny kolor zaczął już wylaniać się spod warstwy jaskrawych pigmentów. Ściany podziurawiono wąskimi, rozglifionymi oknami. Nad wejściem każdego człowieka wkraczającego do domu Boga witał transept z Chrystusem w mandorli z towarzyszącymi mu po bokach apostołami. Wewnątrz kościół w ozdobności nie grzeszył powściągliwością i uporządkowaniem. Filary i ściany pokryto koślawo namalowanymi postaciami, które miały odgrywać sceny ze Starego i Nowego Testamentu.

Benedetto usiadł w ławce i modlił się przez chwilę. Potem wstał i zauważywszy księdza przy bocznym ołtarzu, podszedł do niego.

– Szczęść Boże – pozdrowił.

– Szczęść Boże – odpowiedział duchowny.

– Jaki dziś jest dzień? – spytał Benedetto, naprawdę nie znając dokładnej daty.

Ksiądz spojrział na niego zdziwiony, lecz odpowiedział:

– Dzisiaj wspomnienie pierwszych męczenników mediolańskich. Czemu pytasz? Chyba nie jesteś stąd.

– Zgadza się. Płynąłem z Florencji i statek nawiedził sztorm. Przyszedłem tutaj, aby podziękować Bogu za to, że mnie uratował. Jednakże nie wiem, dlaczego zesłał mnie akurat tutaj, do Prowansji.

– W Jego czynach zawsze jest jakiś cel. Może właśnie tutaj stanie się coś, co zmieni twoje życie – mówił. – Czy nie potrzebujesz może pomocy? Bracia z pobliskiego opactwa na pewno zechcą cię przyjąć.

– Nie potrzebuję pomocy. Do swego zamku przyjął mnie Pèire i pozwolił, abym mieszkał u niego jakiś czas.

Ksiądz oniemiał na chwilę po usłyszeniu tej wieści.

– To dobrze, że dano ci schronienie, lecz uważaj. Byłem w zamku Pèira tylko razi do dzisiaj pamiętam, co tam czułem.

– Co takiego? – Benedetto nie rozumiał.

– Obecność. Obecność czegoś dziwnego, czegoś, czego ja nie potrafię zrozumieć. Bądź ostrożny i pamiętaj, że ufać możesz jedynie temu, który zginął za nas na krzyżu – stwierdził, wskazując na krucyfiks stojący na ołtarzu. – I weź to. – Wręczył przybyszowi posrebrzany krzyż. – Niech cię chroni.

– Bóg zapłać. Z Bogiem – pożegnał się młodzieniec, po czym wyszedł z kościoła.

Poczuł się dziwnie po słowach księdza. Co mógł on mieć na myśli? Ciągłe siedziało mu to w głowie, gdy wracał w okolice zamku, trzymając wciąż w ręce podarowany mu krzyż.

Już w drodze do kościoła widział, że rezydencję Pèira otaczają hektary lasów i łąk, w których, jak się domyślał, kryją się setki ziół. Okazało się, że miał rację. Gdy wstąpił przez bramy wiekowych drzew, poczuł zapach kwiatów i ziół mieszający się w kojącą woń. Począł zbierać namiętnie rośliny, które same rzucały mu się w oczy, jakby chciały być przez niego zerwane. W otoczeniu drzew swym lazurem oczy cieszyło jezioro.

Gdy tak chodził, chłonąc całym sobą uroki tego wspaniałego miejsca, spostrzegł, że nie jest sam w tej imitacji Elizjum. Pomiędzy białymi wierzbami zobaczył kobiecą postać. Podeszedł do niej powoli, aby jej nie wystraszyć.

– *Bona jornada* – przywitał się, usilnie próbując jak najpoprawniej mówić po okcytańsku.

Ona spojrzała na niego łagodnie.

– Dzień dobry – odpowiedziała, a na jej twarzy pojawił się archaiczny uśmiech. – Co tutaj robisz, cudzoziemcze? – spytała miłym głosem.

– To samo, co ty – odparł, patrząc na jej worek pełen ziół. – Skąd wiesz, że jestem cudzoziemcem?

– Domyśliłam się. Widziałam, jak nieśli cię z plaży na lektyce – mówiła, gładząc chropowatą korę jednej z wierzb. – Mam na imię Catarina. Mieszkam nieopodal.

– Mnie zwą Benedetto – przedstawił się krótko. – Umiesz się obchodzić z tymi ziołami? – spytał, dostrzegając w jej worku wszelakie ziele.

– Oczywiście, że tak. Całe życie się tego uczę. A ty po co zbierasz zioła?

– Chwilowo mieszkam w zamku Pèira. Poprosił mnie, żebym mu pomógł. Znasz go?

Z jej twarzy zniknął uśmiech; nie wyrażała już żadnych emocji.

– A kto go tutaj nie zna?

– Wydaje mi się trochę ekscentrycznym człowiekiem, ale podał mi pomocną dłoń – rzekł.

Benedetto zauważył, że dziewczyna raczej nie pała sympatią do Pèira, dlatego nie chciał ciągnąć tego tematu.

– Muszę już iść.

– Będę tutaj i jutro – mruknęła sugestywnie, zanim odszedł.

III

W nocy Benedetto nie mógł zasnąć. Bez przerwy myślał o słowach księdza i o zmianie nastroju Catariny po usłyszeniu o Pèirze. Spotkał dwie osoby i reakcja obu raczej ostrzegła go przed jego osobą. Leżał na łóżku, wpatrując się w ten sam strop, który przywitał go po ocknięciu się.

Z ciszy bezgwiezdnej nocy nagle wyłoniły się dziwne dźwięki, które okazały się śpiewem jakby ludzkim, lecz należącym do świata materialnego i niematerialnego zarazem. Pieśń nie była zrozumiała dla florentczyka. Brzmiała, jakby została spisana w zapomnianym języku. Wpierw ledwie słyszalna, zaczęła się przybliżać do komnaty. Chór demonicznych głosów przemierzał zamek. Benedetto przeszedł dreszcz. Nie wiedział, czym są te dźwięki oraz co uczynić. Wstał, wziął sztylet leżący obok łóżka, po czym podszedł do drzwi. Jeżeli to coś wejdzie do pomieszczenia, on powita gościa dźgnięciem.

Tajemniczy śpiew przybliżał się coraz szybciej. Po skroni młodzieńca spływała strużka potu, gdy czuł, iż to coś jest za drzwiami. Chciał uspokoić swoje łomocące serce, lecz nie mógł. Strach ogarnął jego duszę. Śpiew jakby go przyzywał, zapraszał do dołączenia, jednakże on wciąż stał nieruchomo, przygotowany na zadanie ciosu.

Jakaż go ulga naszła, gdy głosy się oddaliły. Opadł bezsilny na podłogę i stwierdził, że tamtej nocy już nie zmruży oka nawet na moment.

IV

Dnia następnego nie chciał pytać Pèira o dziwne głosy, które przyprawiły go o śmierć ze strachu. Uznał, że może wyjść za szaleńca, jeżeli nic o nich nie wie, albo, co jeszcze gorsze, przestałby być dla niego taki miły, jeżeli coś ma z nimi wspólnego. A może to on rozbudził jakies duchy, pracując w opuszczonej pracowni? W uszach dźwięczały mu słowa Catariny, *będę tutaj i jutro*, i tajemniczy uśmiech im towarzyszący. Pragnął wrócić nad jezioro, aby ją spotkać i opowiedzieć jej o wszystkim.

Pogoda znów była piękna. Wydawało mu się, że nogi same prowadzą go na miejsce. Tym razem spotkał Catarinę stojącą po łydki w wodzie. Szeroko uśmiechnęła się na jego widok; nie udało się jej ukryć radości.

– *Ti aquí* – mruknęła. – Wyglądasz na niewyspanego.

– Nie zmrużyłem dzisiaj oka. Coś dziwnego działo się w zamku – powiedział, siadając na brzegu.

Ona wyszła z wody, stąpając mokrymi stopami po trawie.

– Co się działo? – spytała.

– Jakby jakieś duchy przechadzały się i śpiewały. Przez chwilę czułem, że są tuż obok mojej komnaty.

– Chcesz uniknąć tego tej nocy? – zaproponowała, a on spojrzał na nią pytająco. – Przyjdź tu dzisiaj po zmierzchu.

– Ale jak? Nie wydam się wtedy z zamku, a nawet jeśli, to boję się zetknięcia z tym *czymś*.

Catarina w odpowiedzi podała mu sznur leżący na ziemi, którego wcześniej nie zauważył.

– Możesz jeszcze wyjść przez okno. Pèire nie zauważy.

– Ale będziesz tutaj?

– Oczywiście, że będę.

Benedetto resztę dnia przeznaczył na sporządzanie wyrobów alchemicznych w starym laboratorium, lecz bez przerwy myślał o nocnym wymknięciu się nad jezioro.

Schodzenie po sznurze zajęło mu trochę czasu, bowiem jego komnata znajdowała się wysoko nad ziemią, a on nie był przyzwyczajony do wykonywania takich czynności. Ostatecznie stanął na trwałym gruncie i poszedł żwawym krokiem na wyznaczone miejsce.

Catarina stała nad jeziorem, patrząc na odbijający się od jego tafli księżyc, który rozświetlał wszystko prawie jak słońce w dzień. Odwróciła się i Benedetto zobaczył, że z jej oczu wypływają łzy.

– Co się stało? – spytał zdziwiony.

– Przyszedłeś – wymamrotała, idąc w jego stronę. – Naprawdę przyszedłeś, dla mnie. Nie spodziewałam się, że to może być prawda.

– O co chodzi? – Alchemik był zdezorientowany.

– Miałam sen. W nim była przeszłość. Miał przybyć cudzoziemiec, który trafi do zamku Pèira.

– Wiesz, co się wydarzy dalej? – spytał zaintrygowany, pomimo irracjonalności jej słów.

Catarina zbliżyła się do niego jeszcze bardziej.

– Wiem tylko, że znalazłeś się tu dla mnie – powiedziała, po czym pocałowała go.

Benedetto poczuł, jakby stracił kontrolę nad sobą. Po chwili zrzucił ubrania i robił wszystko, żeby spełnić pragnienia dziewczyny. Coś kazało mu dotykać i smakować jej ciała tak, jak chciała, choć nie wyrzekła ani słowa. Pomimo tego dziwnego zniewolenia czuł, że właśnie tego pragnął od chwili, w której zobaczył ją po raz pierwszy. Pragnął ją osiąść niczym dzikie zwierzę.

Gdy już to minęło i odzyskał nad sobą kontrolę, patrzył na nią leżącą w trawie, odwróconą do niego plecami, jakby się zawstydziła. Przybliżył się do niej i objął, bojąc się, że już nie zechce jego dotyku. Catarina złapała jego ręce swoimi drobnymi dłońmi, lżąc mu na duszy.

– Powinieneś już iść – mruknęła. – Pèire nie może się dowiedzieć.

– Chyba go nie lubisz? – spytał.

Dziewczyna milczała przez dłuższy czas, masując jego żyłastą dłoń.

– Nienawidzę go.

– Dlaczego?

– Dawno temu żywiłam do niego co innego. Gdy wyznałam mu swe uczucia, on upokorzył mnie przy ludziach. Od tamtej pory szukałam sposobu, w jaki mogłabym się zemścić. Żadne zioła nie mogły mi pomóc, więc rzuciłam na niego klątwę.

– Klątwę? – zdziwił się Benedetto. Czyżby spółkował z czarownicą?

– Tak. Zapewne zauważyłeś, że nie wygląda na młodego. Musisz wiedzieć, że jest on jednocześnie w moim wieku. Jego wygląd to efekt rzuconej przeze mnie klątwy. Może w końcu nadszedł czas na prawdziwą zemstę. Czy mi pomożesz? – spytała, odwracając się w jego stronę.

Benedetto był skołowany, lecz patrząc na nią, nie potrafił jej odmówić. Jednocześnie zaczął się zastanawiać, czy Pèire nie szykuje zemsty na niej? Roztwory, których sobie zażyczył, dopiero w tamtym momencie wydały mu się podejrzane.

– Idź już. A gdy wrócisz tam, dobrze schowaj sznur. Przyjdiesz do mnie jeszcze?

– Jak możesz mnie o to pytać? – Pocałował ją jeszcze raz.

V

Benedetto stał się spokojniejszy, gdy w jego głowie zagościła myśl o tym, że gdzieś tam jest Catarina, która myśli o nim i czeka. Udało mu się zasnąć, a we śnie ona go nawiedziła, dając mu wtulić się w swe piersi i słuchać żywego bicia jej serca.

Z rana obudził się i pierwsze co zrobił, to spojrzął pod łóżko, gdzie schował sznur – klucz do wolności o zmroku. Ku jego zdziwieniu nie było tam nic poza brudem. Mężczyzna wyszedł z pokoju, chcąc dowiedzieć się, o co chodzi. Spotkał Pèira.

– Nie powinieneś sporządzać składników? – spytał go władarz zamku.

Nie był to rozkaz, lecz te słowa miały wyraźny wydźwięk. Benedetto zszedł do podziemi i pracował z nielicznymi przerwami do wieczora.

W nocy siedział na łożku strapiiony. Już zapewne dawno uciekłby nad jezioro i smakował rozkoszy z Catarina, gdyby miał przy sobie zaginiony sznur. Bez niego ten strop i ceglane ściany stały się dla niego więzieniem.

Gdy tak dumał, patrząc na oślepiający księżyc w pełni, coś nadleciało. Na parapecie usiadła płomykówka i zaczęła się w niego wpatrywać. Nie zdziwiłoby go już nic; stwierdził, że demony równie dobrze mogłyby wejść do jego komnaty przez okno. Jednakże zdumiał się, bo okazało się, że to nie demon, a Catarina we własnej osobie. Ptak na jego oczach zamienił się w kochankę.

– Czekałam na ciebie – powiedziała.

– Sznur zniknął – mruknął tylko Benedetto. – Zostałem tu uwięziony.

– Dlatego to ja tym razem przyszedłam do ciebie. – Podeszła do niego, po czym położyła się na jego łożku z pozie Wenus z pompejańskiego fresku. – Cóż to? Już mnie nie pragniesz? – spytała, patrząc na wciąż nieruchomego alchemika.

– Czy on jeszcze nie wie?

– Nie obchodzi mnie to – powiedziała – Już wkrótce zajmiemy się nim na dobre. Tymczasem chodź do mnie.

Benedetto nie musiał się już więcej prosić.

Gdy był już bliski błogostanu, patrząc na rozanieloną twarz dziewczyny, usłyszał pukanie do drzwi. Catarina, która jeszcze przed chwilą opierała głowę na poduszce, zamieniła się w mysz, która zniknęła gdzieś w fałdach kołdry. Niezadowolony mężczyzna wstał i nałożył spodnie.

– Kto tam? – spytał.

– To ja. – Za drzwiami rozbrzmiał głos Pèira.

Benedetto wstał i otworzył drzwi. Niespodziewany gość machnął szybko ręką, po czym młodzieniec padł na ziemię nieprzytomny.

VI

Obudził się i słyszał jedynie te same dziwne śpiewy, co pierwszej nocy w zamku. Leżał w laboratorium na stole, który stał na środku. Był nagi. Nie związane go, lecz nie mógł poruszyć rozpostartymi członkami, jakby ktoś chciał go wpisać w koło. Nie miał siły.

– Zdążyłeś wytworzyć wszystko – powiedział Pèire, który wyraźnie zbliżał się w jego stronę. – Dzisiejsze ułożenie planet pozwala na dokonanie rytuału.

Zbliżył się na tyle blisko, że Benedetto mógł go zobaczyć. Władca zamku też nie miał na sobie żadnych ubrań i zamierzał zbliżyć się do niego, jak czynili to mężczyźni względem efebów w Helladzie. Gdy Benedetto stracił już resztki nadziei, poczuł, że ma coś w mocno zaciśniętej pięści. Rozpoznał krzyż podarowany przez księdza. Nieważne było w tamtym momencie, jak on się tam znalazł, lecz co mógłby z nim zrobić? Z bezradności uderzył Pèira otwartą dłonią z podarunkiem, wykorzystując ostatnie siły. Nie spodziewał się takiej reakcji; mężczyzna zaczął wyc, jakby nie była to dłoń, a raczej flagrum. Odsunął się, zasłaniając wypaloną część twarzy.

– Czym ty jesteś? – wyjąkał alchemik.

Tamten nie odpowiedział, cofnął się tylko, zszedł ze stołu i we wściekłości złapał rytualny sztylet.

– A więc wybrałaś śmierć – warknął.

Nie zdążył jednak zbliżyć się do Benedetto, bo w okamgnieniu za jego plecami pojawiła się postać skryta w cieniu, która wyciągnęła przed siebie smukłe dłonie, po czym, niczym wytresowany sokół, wydrapała mu oczy jednym ruchem. Wył jak zarzynana świnia. Jego twarz wyglądała jak wodospad krwi spływającej na ciało. Catarina wyłoniła się z cienia i zepchnęła Pèira na bok. Uderzył o ścianę, po czym zaczął wić się na ziemi.

– Musimy stąd uciec! – krzyknęła tajemnicza postać, pomagając Benedettowi wstać.

Głosy były blisko, za blisko. Aby nie oszaleć, mknęli co sił w nogach. Do tej pory zwykle schody stały się katorgą, a kamienna posadzka jakby wbijała się w stopy. Demoniczny chór wydawał się zgniatać głowy.

– Nie wytrzymam! – zawołał z bezradności alchemik, padając na kolana, gdy widział już w oddali przyćmione jak we mgle wyjście z zamku.

– Wystarczy uwierzyć. – Usłyszał dziwnie znajomy głos.

Jak spod ziemi obok nich pojawił się ksiądz, ten sam, którego Benedetto spotkał z kościele. W jego obecności głosy jakby trochę ucichły. Pomógł im wydostać się z tego przekłętogo budynku, a właściwie wyciągnął z niego ich ledwo żywe ciała.

Opadli na trawę, a zły stan nie utrzymał się na długo. Benedetto i Catarina dochodzili do siebie.

– Ledwie przeczytałem w księdze o tym, co oznacza dzisiejsze ułożenie planet – mówił zdyszany kapłan. – Pędziłem co sił w nogach.

Alchemik spojrzał na krzyż, który trzymał w ręce.

– Dziękuję. Gdyby nie ten podarek, byłoby ze mną źle – powiedział.

– To już koniec tego zamku – mruknęła Catarina. – Teraz rządzą nim tylko złe moce...

VII

Gdy słońce już wstało, z zamku wyszedł okaleczony ślepiec. Szedł, jakby miał nogi z drewna. Mamrotał coś pod nosem. Zatrzymał się dopiero przy jabłoni, która samotnie rosła na rozstaju dróg.

– Zemszczę się... Zemszczę! – zakrzyknął, po czym zaczął machać rękami, jakby chciał dosięgnąć szyi Benedetta, gdziekolwiek wtedy był.

W szale ułamał gałąź jabłoni i kontynuował swoją tułaczkę dzielnie ją dzierżąc.

Kampinos, 22 – 24 III 2023 r.



DUCH ROZKOSZY

Justyna Bendyk

Wiwa starała się odbierać przedstawienie teatralne wszystkimi zmysłami. Tak zaleciło jej medium. Zanim zaczniesz postrzegać rzeczywistość pozaziemską, musi zwrócić uwagę na zmysły. *Ktoś nieczuły na zmysłowe postrzeganie za życia, będzie prowadził jałowe życie po*

śmierci, jak mówiła Safira, medium, do której się udała. Ku zdumieniu Wiwy, które z czasem ustąpiło zafascynowaniu, kobieta wiązała materię ze światem ducha bardziej, niż Wiwa mogłaby przypuszczać. Jej samej, po stracie ukochanego w wypadku samochodowym, to co duchowe kojarzyło się raczej z ulotnością – ot, nie było go. Pozostała pustka, jednak to medium nauczyło tę pustkę określać i poczuć w ciele, czego Wiwa zdecydowanie unikała. *Czucie, czegokolwiek, jest lepsze od obojętności*, mówiło medium i na wstęp, zaznaczając, że jej praktyka jest eksperymentalna, zaleciło zanurzenie się w zmysłowym świecie, bez opamiętania. Wiwa miała też przypomnieć sobie, jak to jest mieć relację, fizyczną, dlatego też w sobotni wieczór, zamiast rozpaczać w domu, siedziała na przedstawieniu „Serca to instrumenty, które należy stroić”, razem z chłopakiem, któremu bardzo się podobała. Wiedziała to i zamierzała to wykorzystać, jak zaleciło medium. Co prawda Safira nie powiedziała tego wprost, ale Wiwa musiała jakoś wypełniać jej polecenia. A sposób wybrała właśnie taki.

Czuła w piersiach zapach wiekowego drewna teatru, perfumy Warii, z którym siedziała na przedstawieniu, syciła wzrok czerwienią kurtyn i barwami strojów aktorów, nie skupiając się tak bardzo na treści występu, co na jego zmysłowych walorach. Waria wydawał się treścią poruszony, co wprawiało ją w lekkie zirytowanie – chciała poczuć, jak to jest mieć parę, ponownie, musiała to poczuć. *I nie musiało to być połączenie bratnich dusz* – powiedziała Safira – *wystarczyło połączenie ciał*.

To co ziemskie, wynosi nas ponad niebios, nie odwrotnie. To ziemski rozkosz jest bramą do niebios – Wiwa przypomniła sobie słowa medium. – *Duchy przypominają sobie o tym nad wyraz późno, bo przecież znaczna część religijnych doktryn zaleca wstrzeźliwość w świecie materialnym, i mam tu na myśli wstrzeźliwość w szerokim tego słowa znaczeniu. Potem duch, który nie żył zmysłowo, łapie się na tym, że nie potrafi poczuć swoich subtelnych ciał, które, o wiele bogatsze w doznania niż te ziemskie, potrzebują doświadczonego odbiorcy. Duch, który nie lubował się w zmysłowości za życia, nie jest w stanie poczuć siebie samego po śmierci*.

Te słowa, choć odważne, wryły się Wiwie w pamięć. Była u innych mediów, nie był to dla niej temat obcy. Jednak oni potrafili tylko powiedzieć *twój ukochany gdzieś jest, twój ukochany tęskni, twój ukochany o tobie myśli*. Dopiero Safira zapewniła ją, że ducha można nie tylko poznać, przywołać, ale i poczuć. By jednak to osiągnąć, trzeba najpierw wyćwiczyć zmysły. A by to zrobić, można nie przebierać w środkach – dodała sobie Wiwa albo sądziła, że dodała – medium nie odradzało jej przecież pewnych zachowań. Po minie Warii wywnioskowała, że przedstawienie zbliża się ku końcowi, bo w jego oczach dostrzegła

uznanie, połączone z tęsknotą, że doświadczenie, które docenił – spektakl musiał być dobry – zbliża się ku końcowi, tęsknotą za tym, co już prawie utracone, a cenne. Poczucie tak jej bliskie, kiedy patrzyła w oczy swojego umierającego chłopaka.

– Jak podobał ci się spektakl? – zapytał Waria kwadrans później, kiedy ona skupiała się na tym, co serwowały jej: wzrok, smak, dotyk, węch i słuch.

– Podobały mi się kolory strojów aktorów, a także to, że wybrana przez nich czerwień, miała różne odcienie – postawiła na szczerość. Musiała zbudować relację możliwie szybko, a pamiętała, co zauroczyło jej chłopaka w niej samej – bezpośredniość.

– Mnie spodobała się symbolika – Waria nieco zbił Wiwę z tropu. – Kolor czerwony, symbol miłości, to przede wszystkim kolor krwi, a ta krąży po całym organizmie, odżywiająco całościowo, jak miłość, jeżeli tylko serca...

– ...są dobrze nastrojone – powiedziała, i zaczęła bawić się sznurowaniem w jego koszuli, tak jak gdyby naciągała struny. Zaczepnie, ale bezpiecznie. Waria nie wiedział, co z tym zrobić, i odjął jej rękę od sznurowania, uśmiechnął się jednak, a ona czuła, że sprawiła mu tym przyjemność.

– Krzesła, ten materiał...

– Welur.

– Były delikatne... jak miłość! – wykrzyknęła, nie będąc jeszcze wyćwiczoną w porównaniach, operując nimi topornie. Jeśli coś było dobre, było jak miłość, jeśli szorstkie i nieprzyjemne, jak nienawiść.

– Nigdy nie słyszałem, by ktoś porównał welur do miłości, ale muszę przyznać, że to porównanie trafne, szczególnie dla mnie. Nie można też nie docenić twojej welurowej sukienki...

Tu Waria pociągnął ją za ramię od ubrania, delikatnie strzelając nim o skórę. Poczowała to doznanie całą sobą i wiedziała, że go „miała”. Dźwięk instrumentów, oscylujący wokół nienawiści i miłości, raz szarpiący nerwy, raz kojący i posmak słodczy wafelka teatralnego w ustach powoli wygasały, a ona odbierała wszystkimi zmysłami zimno wieczoru. Był pierwszy dzień zimy.

– Na boga, serce mi zaraz zamarznie! – wykrzyknął Waria, łapiąc się teatralnie za klatkę piersiową.

– Nie pozwolę na to! – powiedziała z przekonaniem, chłonąc męczyznę wszystkimi zmysłami.

W głowie przeanalizowała, czy wszystko ma. Kadzidła, przytulną pościel w kolorach żądzy, muzykę, którą poleciła jej Safira. Za wszelką cenę musiała przypomnieć sobie, jak to jest kochać.

Za wszelką cenę.

Pościel pachniała kadzidłem, które niedawno odkryła – wanilią, która gryzła się z cytrusowymi perfumami Warrii. Obserwując ten szczegół, wiedziała, że wygrała. Może za wszelką cenę, ale będzie w stanie wydobyć swojego ukochanego z duchowego niebytu, w jakim się znalazł.

Safira kazała się Wiwie rozebrać. Naga, siedziała naprzeciwko kobiety równie roznegliżowanej, która tłumaczyła jej, że nagość jest hołdem dla zmysłów. Początkowo czuła się nieswojo, niemal zawstydzona, jednak mieszkanie, w którym przyjmowała medium, było tak przyjazne wszystkim zmysłom, że poczucie nagości prędko ją opuszczało. Faktura i wzory poduszek, duszące kadzidła wszelkiego rodzaju, kojąca muzyka płynąca z głośników, to wszystko sprawiało, że Wiwa czuła się nawet lepiej, niż zazwyczaj.

– Kazałam ci przynieść wszystko to, co pobudzało zmysły twojego partnera. Co przyniosłaś?

Wiwa odwróciła wzrok od przyjemnie puszystego ciała medium, odłożyła na bok babeczkę, którą ta pozwoliła jej konsumować, po czym powiedziała:

– Wzrok, smak, dotyk, węch i słuch... Wzrok to... e... moje zdjęcia, smak... gorzka czekolada, dotyk, to mój ulubiony szlafrok, węch to jego ulubione, „moje” perfumy, a słuch... tego nie mogłam przynieść... Powiedział, że najbardziej sprawia mu rozkosz to, jak wymawiam jego imię... tylko to.

– Doskonale rozumiałaś moje polecenie – powiedziała medium Safira. – Potrzebne nam było to, co sprawiało mu zmysłową przyjemność, by przywołać go ponownie do życia. On jest tutaj, przy tych właśnie rzeczach, za którymi tęskni, bo nie może intensywnie czuć po tamtej stronie zasłony. To wokół tych prozaicznych na pozór rzeczy, które sprawiają rozkosz za życia, kręcą się duchy. Teraz, kiedy masz to, co potrzebne, a także sama ponownie otworzyłaś się na zmysłową percepcję, możemy pozwolić mu przyjść, przejść przeze mnie i ciebie dotknąć...

– Jak?

– Przychodząc do mnie, kochanie, i przechodząc przeze mnie. Przychodząc do mojej przestrzeni, która przypomina raj.

Wiwa zgodziła się. Barwy przyrody i wystrój boho salonu Safiry, bogaty w rośliny i zwierzęta, faktycznie przypominał Eden.

– Jestem medium, ale jestem też czarownicą. Musiałam więc wymagać od ciebie nagości, proszę, nie wini mnie za to. Musiałas stanąć tu naga wobec bogów, niczym pradawna Ewa. Konstruując przestrzeń mojej pracy, zadbałam, by równoważyły się tu i idealnie ze sobą współgrały cztery elementy tworzące rzeczywistość: ogień, woda, ziemia i powietrze, którym podlega element ostatni, czyli duch.

– Podlega?

– W mojej ocenie, i na tym polega moja wyjątkowość pracy jako medium, to co ziemskie, góruje i tworzy to, co duchowe, nie odwrotnie, już ci o tym mówiłam. Niektórzy nazwą to satanistycznym podejściem, operującym na odwróconym pentagramie, ale ja nie widzę w tym nic złego, poza tradycją przekazywaną mi z pokolenia na pokolenie.

Tradycja, pomyślała Wiwa. Ta medium musiała być dobra. Safira podeszła pod ściankę, w którą wbudowany był ołtarz, operując magią obok czarnego kota.

– On myśli, że to jego ołtarz, ale ja go za to nie winię. Zwierzę żyje czystą zmysłowością, nie będę więc zganiać zwierzęcia z miejsc świętych – wyjaśniła, a Wiwa wzięła kota w ramiona i pocałowała. Obok czarnego kocura widać było jeszcze dwie czarne kotki.

– Louis, Mija i Fibi – wyjaśniła medium, nadając wnętrzu jeszcze więcej przytulności.

– A teraz przejdźmy do meritum. Duchem możesz cieszyć się dopiero wtedy, kiedy dumnie zobaczysz siebie w całkowitej nagości. Ja ustawię na ołtarzu przedmioty, o które prosiłaś, na ołtarzu, który spreparowałam podług zasad, które ci przedstawiłam. A teraz, Athame.

– Athame?

– Mój rytualny nóż, tylko kilka kropel krwi, lustro, zbalansowanie czterech elementów, i twoje poczucie zmysłowości, do tych łupów, które przyniosłaś, i czujesz – o wyjątkowości – ducha. To pozwala mu tu przyjść, ja pozwolę go przekazać.

– Pani będzie mi jeszcze potrzebna?

– Ja nim będę, dziewczyno. Przeze mnie przekażę ci jego dotyk!

Wiwa spojrzała na siebie nagą w dużym lustrze, obejmującym ją od stóp do głowy. Z jej ręki ciekła krew. Odbierając rzeczywistość wszystkimi zmysłami, poczuła ból ze zdwojoną siłą.

– Gardło! – zakomenderowała Safira, dotykając Wiwy w tym miejscu, a ona poczuła dotyk swojego nieżyjącego kochanka, mówiącego ustami Safiry: *Rozkosz sprawiało mi to, jak porządnie się ubierasz, zawsze zakładając do sukienek kołnierzyki. Nie mniejszą to, jak wiązałaś mi krawat, bo ja sam nigdy nie umiałem osiąść tej sztuki. Bawiłaś się materiałem, jednocześnie go ujarzmiając.*

Powiedziała Safira głosem jej ukochanego, a Wiwa dotknęła i jej gardła, które przypominało męskie, zupełnie tak, jak gdyby medium *shape-shiftingowało*¹ się w inną osobę.

Czuła go, nie o nim rozmawiała. Takiego medium wcześniej nie mogła spotkać, aż wreszcie jej się poszczęściło.

– Talia – powiedziała Safira jego głosem, a Wiwa poczuła dotyk ukochanego w talii.

Tak rozkosznie bawiłaś się szlafrokiem, kiedy stałaś u drzwi łazienki, dywagując o przebytych dniach – znów powiedziała to JEGO głosem!

– Jeszcze – szepnęła Wiwa, ale świece zapalone na ołtarzu zgasły, a to, co czuła, przestało być klarowne.

– To udana sesja – powiedziała Safira. – Elementy służą nam tak długo, jak mogą. Są skończone i trzeba o tym pamiętać, taka też jest ich moc – zawyrokowała, ale Wiwa puściła tę uwagę w niepamięć. Rozkosz, która płynęła ze spotkania z ukochanym, była jedynym, co się liczyło.

– Wyglądasz, jakbyś unosiła się kilka stóp nad ziemią – powiedział Waria, ciesząc się, że na powrót widzi Wiwę szczęśliwą.

– *To rozkosz ma taką moc. Chociaż zmysłowa, sprowadza na ciebie to, co niezemskie. Tylko poprzez rozkosz zmysłów możemy poczuć się jak bogowie, dokonując przekroczenia w sfery, które z tymi co ziemskie, nie mają nic wspólnego* – ponownie postawiła na bezpośredniość, parafrazując słowa medium, które przyszły jej na myśl. Mimo chłodnego dnia, prawie nie miała na sobie ubrań,; raz, że wciąż czuła pod skórą wydarzenia spotkania z Safirą, dwa, że była rozgrzana od wewnątrz rozkoszą, jednak do czasu. Z czasem obraz ukochanego blakł, a ona stawała się nerwowa, będąc pozbawioną tych odczuć. Wtedy, zdesperowana i wymęczona, spotykała się z Warią, który był dla niej nie mniej, nie więcej,

¹ zmiana kształtu, zdolność do fizycznej transformacji siebie poprzez nadludzkie moce, np. magię, pomoc bogów czy demoniczne opętanie

jak obiektem medytacji i ćwiczeń magicznych praktyk. *Kadzidło, pościel z miłą fakturą, odpowiednie kolory, smak magicznych ziół w ustach i melodia, która była podsunęta przez Safirę. Kadzidło, pościel, odpowiednie kolory, smak magicznych ziół w ustach i melodia, która była podsunęta przez Safirę. Kadzidło, pościel, odpowiednie kolory, smak magicznych ziół w ustach i melodia, która była podsunęta przez Safirę.*

– Kogo ty widzisz, Wiwa, kogo ty widzisz? – pytał Waria, ona jednak nie przestawała kosztować miłości ziemskiej, by potem ją pomnożyć. On też. Safira widywała ją czasami kilka razy dziennie, a że miała być „naga”, to do wiedzy mogła wyskoczyć i bez makijażu, być u medium tak szybko, jak tylko zmyła z siebie zapach i smak Warii.

Safira zaparzyła Wiwie imbirową herbatę, ponoć dobrą na miłość. Czasami i ona była nie tyle medium, co zwyczajną gospodynią, krzątającą się w fartuszku po wypełnionej suszącymi się ziołami kuchni. Było w tym coś zwykłego jak na nią, co wprawiało Wiwę w zdenerwowanie. Źle sypiała ostatnimi czasy, drżąc w zniecierpliwieniu przed kolejnym spotkaniem, przekręcając się z boku na bok, jak więc medium mogła zachowywać się tak spokojnie? Gdyby Wiwa była uważniejsza, dostrzegłaby, że słabnie jej wzrok, węch, smak, słuch, a nawet dotyk znacznie się przytępia. Imbirowa herbata nie smakowała imbirowo, poprosiła więc o waniliową, także mającą pomagać w miłości.

– Rozkosz i obsesja... – zaczęła. – Popadała w zwątpienie, ze względu choćby na to, że Waria je w niej wzbudzał. Kiedy leżeli nago w łóżku, mocą nazwaną przez Safirę, jego duch także odsłaniał się przed bogami, wciąż i wciąż opowiadając jej wrażenia, ze spektaklu, na którym byli, snując dywagacje na temat tego, jak należy dbać o serce, by było czyste i godne miłości.

– Kochanie... – Safira ucinała te wątpliwości szybko. – Ja po prostu mówię ci, jakie są fakty. To od zmysłowości istnienie w świecie nierzeczywistym ma swój początek, koniec i kropka. Czy uczestniczenie w pracach innych mediów przyniosło ci satysfakcję?

– Nie, ale...

– Rozbieraj się więc, i do roboty – tym razem to Safira ją ponagliła. Przez chwilę Wiwa dostrzegła w wiedzy, w medium, jakieś rozedrganie, które, swoim prostym skojarzeniem, skojarzyła by raczej z nienawiścią, niż z miłością, zignorowała to jednak, zrzucając tę obserwację na karb swoich przeciążonych zmysłów. Zdjęła z siebie sukienkę, makijażu nie zmywała, bo ostatnimi czasy nie miała siły o siebie zadbać. Sesje z Warią, sesje

z Safirą, tym żyła, tylko tego pragnęła. Te dwa aspekty jej życia zazębiały się tak, że kołowrót jej egzystencji mógł się toczyć.

Ponownie stanęła przed obejmującym całą jej sylwetkę lustrem, ponownie Safira rozcięła jej dłoń, tym razem cięła jednak mocniej i głębiej, niebezpiecznie zbliżając się w kierunku nadgarstka.

Dwie kobiety stanęły przed sobą nago, a dotyk kochanka był początkowo zimny i nieprzyjazny, z czasem ciepły i pulsujące życiem. Ich usta się spotkały. Ich, Safiry i Wiwy, ich Wiwy i Jego. Wiwa przesuwając ustami po jego plecach, barkach, szyi. Czuli jego smak i zapach perfum, gładką fakturę skóry.

Świece zgasły, kadzidła się wypaliły.

Ona pragnęła więcej, ona pragnęła mocniej.

A Safira, gdzieś w tle, gdzieś w tej orgii zapachów, smaków, barw, kolorów i faktur powiedziała JEGO głosem:

– A co ty zrobiłaś z naszą miłością?

To wyznanie w niej zostało, a ona postanowiła się poprawić. *Co ty zrobiłaś z naszą miłością?* Mogła to rozumieć różnie, pojęła to jednak tak – jak sprawiłaś, że to co czuliśmy, nadal się liczy i jak emanuje czystą miłością w świecie? Jak podajesz tę miłość dalej? Nic nie „podawała”, oddawała się tylko swoim fantazjom. Na racjonalnym poziomie to wiedziała, w praktyce było gorzej.

– Słabiesz – mówił Waria, kiedy zapalczywie próbowała utrzymać go w łóżku. On wymykał się jej, to otulał ją kocem, to parzył herbatę, to pomagał jej umyć głowę, bo czasami nie miała siły i na to.

– To rozkosz... – jęczała, a on uparcie powtarzał:

– Serca to instrumenty, które należy stroić. Ty jesteś moim ćwiczeniem. Obojętnie, czy kochasz mnie, czy nie, ja będę kochał ciebie, będąc przy tobie tym, co jest ci teraz najbardziej potrzebne – nie miłością fizyczną, a opiekuńczością, twardym ramieniem, na którym możesz się oprzeć, by nie osunąć się w niebyt.

Pewnego dnia jednak, pośród całej tej pomocy, wybrał te same perfumy, które wybrałby On. To wystarczyło. Niechęć budowana przez niego i nią wobec Safiry przysła, a ona stała pod drzwiami medium niewyspana, spocona, śmierdząca, lepka od brudu i miłości, wygłodniała.

A Safira otworzyła praktykę po to, by służyć.

– Chcę go poczuć w pełni – powiedziała, kiedy ponownie splotły ze sobą ręce, dwie nagie postaci flirtujące z nicością.

– Wiesz, jakiego cięcia będzie to wymagało? – zapytała Safira, ostrząc Athame.

– Wiem.

– Wiesz też, że jesteś coraz słabsza. Nie jesteś głupia, Wiwa. Trafiały mi się głupsze klientki, które nie wiedziały do samego końca, jaki los je czeka. Mogę go przekazać, ale potrzebuję do tego twojej życiowej energii.

Podeszła z nożem do drżącej Wiwy.

– Nadgarstek.

– Nadgarstek.

Powiedziała, kreśląc samobójcze rysy na ledwo żyjącym już ciele.

Ręce medium i Wiwy ponownie się splotły, pojawił się on. Tym razem bardziej wyrazisty, bardziej namacalny nawet niż Wiwa, z blond lokami, chabrowymi oczami i umięśnionym ciałem zamiast postaci Safiry. Ku zdumieniu Wiwy, w tym akcie spotkały się nie ich ciała, a spojrzenia.

– Co zrobiłaś z naszą miłością? – zapytała Safira jego głosem. Nie mogła się powstrzymać. To wybrzmiało mocno, celując w samo serce Wiwy.

Co zrobiłaś z naszą miłością?

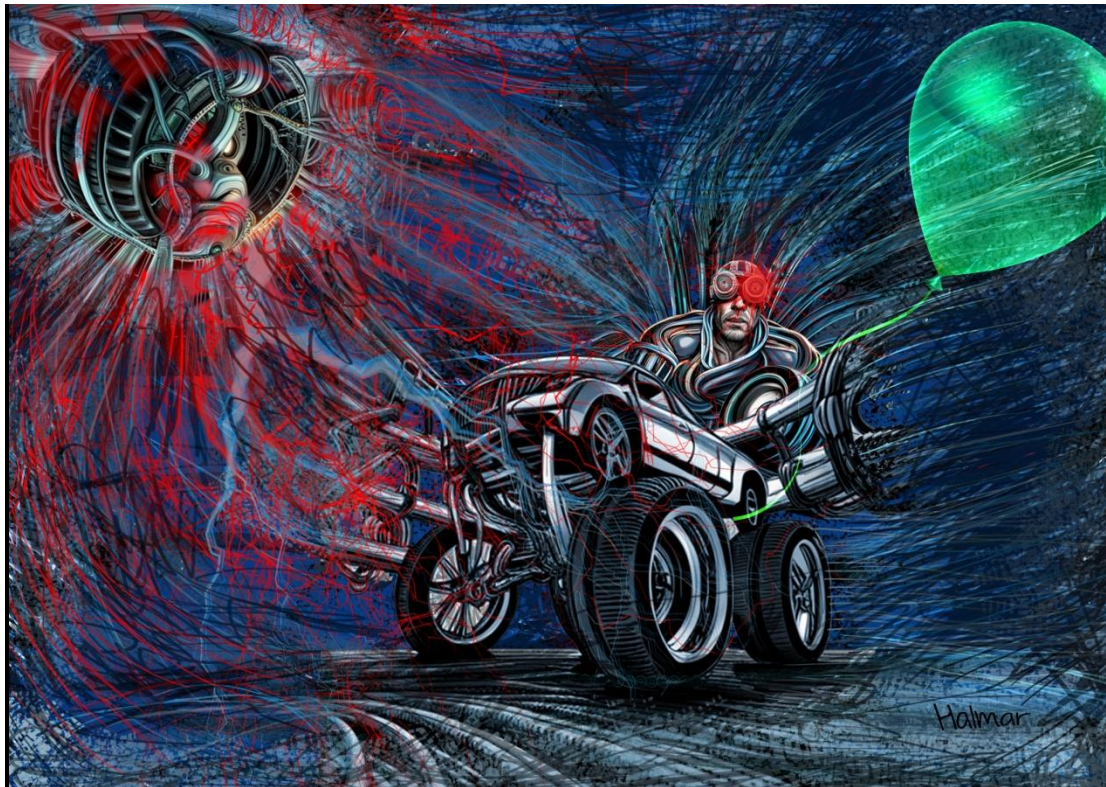
Wiwie od tych słów huczało w głowie. Osunęła się do stóp swojego ukochanego. On stał, o zbolałym duchu, ale jakże apetycznym ciele. Im bardziej Wiwa słabła, tym bardziej on stawał się wyrazisty, oddzielając swoje istnienie od Safiry, tak że teraz nad ciałem Wiwy stały nie jedna, a dwie osoby.

Safira pocałowała go w policzek, a potem w usta, najpierw z niewinną czułością, a potem namiętnie.

– Witaj wśród żywych – powiedziała. – Witaj wśród żywych.

Aż zgaśnie świeca, aż wypali się kadzidło, pomyślała, będziesz moim kochankiem. Co ty zrobiłaś z waszą miłością?

Ich ciała splotły się w uścisku nad trupio bladym ciałem Wiwy.



MIGA MI

Iwona Matacz

Uwielbiam zapach sukcesu o poranku. A czwartki tak właśnie pachną – ludzie już zwietrzyli weekend, ale jeszcze nie wyjechali. Najlepszy dzień na sprzedaż aut.

Rozchyliłem szeroko szklane drzwi, poprawiłem zielony balonik i przybrałem profesjonalny uśmiech. Za jakieś pół godzinki w salonie będzie tłum, a ja znowu zdobędę tytuł sprzedawcy miesiąca. Brakuje mi już tylko czterech aut. Chyba że uda mi się opchnąć któregoś cudaka, wtedy otworzą się przede mną drzwi do półrocznej premii.

Szefostwo ściągnęło w tym tygodniu dziesięć cudaków chyba tylko po to, żeby sprawdzić nasze umiejętności. Niskie zawieszenie, wąskie opony, masywna kabina i odkryty bagażnik. Krzyżówka monster trucka z bolidem, tylko że ktoś wziął dokładnie odwrotne cechy niż powinien. Gdyby to to chociaż jakieś konie miało... Oczywiście poza tymi wymalowanymi na drzwiach. Po jednym cudaku na sprzedawcę i kto pierwszy, ten lepszy. Chociaż teraz chodzą raczej szybkie, sportowe maszyny...

– Witam serdecznie, mogę w czymś pomóc? – podbiegłem do łysolka, zanim Alina go w ogóle zauważyła.

– Szukam auta – odpowiedział facet, drapiąc się po karku.

Niemożliwe. Zmierzyłem go wzrokiem, nie tracąc uśmiechu. Klienci wycwanili się ostatnimi czasy. Przychodzili nieogoleni albo w wyciągniętych dresach, żeby robić wrażenie biedniejszych. Albo chcieli tym ugrać zniżkę albo pokazać nam, jakimi jesteśmy chamami, że traktujemy ich inaczej niż gogusiów w garniturkach. Ja tam nawet wołę takie cwaniury, zabawnie jest patrzeć, jak wydają na wózek więcej, niż jakby przyszli w tym garniaku.

– Oczywiście. Zapewne interesuje pana coś, co podkreśli pańską osobowość?

– Noo... ma być niezły, hehe. – Łysolek rozejrzał się, myśląc, że sprawia wrażenie znawcy. Nie zamierzałem wyprowadzać go z błędu – tak się nie zbija kasy.

– Proszę mi opowiedzieć, czego pan oczekuje po aucie? Ma być szybkie? Wygodne? Oryginalne?

– Chcę brykę, jakiej nikt inny nie ma. – Nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście, ale zachowałem spokój. – Wszyscy mają wiedzieć, że to ja podjeżdżam.

– W takim razie mam coś idealnie dla pana. Zapraszam. – Wyciągnąłem ramię zapraszającym gestem i skierowałem się w głąb salonu. – To najnowszy model ferrota. W Warszawie jest tylko dziesięć takich, każdy innego koloru i z możliwością zmiany wyposażenia, a w całej Polsce nie więcej niż sto. Gwarantuję, że nikt z pana znajomych nie będzie miał takiego auta!

Dotarliśmy do cudaka, na pierwszy ogień wybrałem trawiastego, w razie czego pozostanie manewr w obie strony. Ale moja zapobiegawczość była chyba zbędna, łysol zachwyił się dziwną krzyżówką. Przekonał go argument, że wolniejsza jazda sprzyja podziwianiu auta przez przechodniów. Dobrał pełną klimę i badanie sensorów ciemieniowych w pakiecie. Na pewno nie zmarznie, a szybciej wróci na przegląd.

Tak, czwartek to dobry dzień na sprzedaż. Pomachałem Alinie, która próbowała wcisnąć cudaka jakiejś babce z niemowlakiem. Cóż, mój sukces w dużej mierze opierał się na szczęściu, ale trzeba też wiedzieć, kiedy się przesadza. A cudak i matka z maluchem to idealny przykład przesady.

Dzień mijał całkiem niezłe, a dzięki łysolkowi z rana miałem już zapewniony tytuł i premię na najbliższe miesiące. Na luzie sprzedałem kolejne dwa auta, większość w standardowym pakiecie. Ale po południu pojawiła się szansa na dodatkowy pakiet medyczny. To znaczy pojawiła się starsza babeczka z dzieciakiem, który pewnie dopiero

zrobił prawko. Tacy zwykle nie mieli jeszcze żadnych przeróbek, eliminacji ani przeszczepów. Może uda mi się też zgarnąć jakąś nagrodę u partnera?

– Witam, witam! Jak mogę państwu pomóc?

– Chcielibyśmy kupić pierwsze auto dla tego dżentelmena – odpowiedziała kobieta, przytulając chłopaka. Nie wydawał się zachwycony. Pytanie tylko, które z nich będzie mieć ostatnie słowo, bo upodobania pewnie mają różne.

– Oczywiście. Mają państwo coś upatrzone?

– Mareczku?

– Wemkę bym chciał – mruknął chłopak z ciężkim westchnieniem.

– Bardzo dobry wybór, świetnie się prowadzą i są niezwykle wygodne.

– A jak szybko jeździ? – Chłopak wyraźnie patrzył na model XS500. Położyłem rękę na masce.

– Ten model w podstawie rozpędza się do 180 km/h. Mamy jednak opcję rozszerzoną, która łączy się z pakietem medycznym, a auto wyciąga nawet 250 km/h! Przy deklaracji w naszym Medzie, dajemy 10% zniżki.

– Czyli musimy wypisać się z naszego? Co obejmuje pakiet medyczny? – Głos matki zmienił się na bardziej rzeczowy

– Nie musi pani rezygnować z dotychczasowego Medu. Przy zakupie naszego pakietu wystarczy, jeśli modyfikacje zostaną wykonane u nas, a potem klient zgłosi się na kontrolę. Standardowo po trzech miesiącach, pół roku, a później według wskazań lekarza. Po dobrze wykonanym zabiegu zwykle kolejne kontrole są naprawdę rzadkie, zazwyczaj raz na rok. Oczywiście jest to bezpłatne i objęte pięcioletnią gwarancją, tak jak samochód.

Widziałem, że chłopak był coraz bardziej zainteresowany, właściwie nawet mnie nie słuchał, ale oczy błyszczały mu jak lakier pięćsetki. Za to stara słuchała. Wyraźnie coraz bardziej się krzywiła, chyba nie była fanką modyfikacji. Ciekawe, czym sama jeździła. O ile w ogóle miała prawko.

– Jakie modyfikacji ma pan na myśli? – zapytała, trzymając syna za ramię.

– Och, to zupełnie standardowy pakiet dla młodych kierowców. Bo domyślam się, że to ma być pańskie pierwsze auto? – zwróciłem się do dzieciaka, żeby poczuł się bezpośrednio zaangażowany.

– Eee, tak. Czy mogę wsiąść? – zapytał, jakbym robił mu tym przysługę. Jego już miałem.

Otworzyłem drzwi i zaprosiłem chłopaka szerokim gestem do środka. Zaczął dotykać tapicerki, kierownicy, oglądać przełączniki. Zerknąłem na niego uważnie.

– Co obejmuje pakiet? – zapytała matka stanowczym tonem.

– To są standardowe zabiegi. Z naszym Medem współpracuje najlepszy neurochirurg w Warszawie. Dla niego modyfikacje są niemalże rutyną, wykonuje ich do kilkudziesięciu dziennie.

– Neurochirurg?!

– Oczywiście, nie moglibyśmy powierzyć naszych klientów jakiemuś amatorowi. Bardzo dbamy o ich zdrowie i dobre samopoczucie.

– Ale mój syn nie ma problemów neurologicznych! Przed przystąpieniem do kursu został dokładnie przebadany pod kątem fizycznym i psychologicznym. Wszystko z nim w porządku! – Babka chyba nie jeździła albo miała klapki na oczach, skoro była aż tak zaskoczona. Czego ona się spodziewała po pakiecie medycznym w salonie samochodowym? Ubezpieczenia? Darmowego leczenia?

– To jasne, w przeciwnym razie nie zostałby dopuszczony do egzaminu. Jednak w przypadku takich samochodów jak XS500, którą zainteresował się pani syn, obowiązkowe są pewne modyfikacje neurologiczne. Czy widziała pani kiedyś kierowcę wemki albo mera, który sygnalizował zmianę pasu kierunkowskazem? – Kobieta szerzej otworzyła oczy. Chyba zaczynała rozumieć i nie podobało jej się to. Mnie też przestawało, ale miałem jeszcze nadzieję, że może kilka dodatkowych standardów i superlatyw zdoła ją przekonać. – Przy pierwszym zakupie samochodu wiodących marek, klient zostaje poddany specjalnym dodatkowym testom. Większość nie przechodzi ich pomyślnie, wciąż odruchowo włączają kierunkowskazy lub naciskają hamulce. Dlatego wiele salonów, a nasz jako jeden z pierwszych, weszło we współpracę z Medami i profesjonalnymi lekarzami światowej klasy. W zależności od rezultatów testów, klient kierowany jest do odpowiedniego specjalisty. Standardowo zaczynamy od neurochirurga, który wycina fragment płatu czołowego odpowiedzialny za kojarzenie zmian w ruchu z sygnalizacją. Jest to naprawdę niewielki obszar, wielkości główki od szpilki. Ale nasi lekarze są prawdziwymi specjalistami w swoich dziedzinach. W razie potrzeby wycinany jest także fragment płata potylicznego, który odpowiada za widzenie czerwonego światła...

– Czerwonego światła?

– Zgadza się. Mając tak szybki samochód, kierowca często nie jest w stanie zahamować przed skrzyżowaniem ze względu na prędkość, z jaką jedzie. Dla własnego dobra przestaje więc postrzegać barwę czerwoną, co pozwala mu uniknąć nerwów w czasie przejażdżki samochodowej. Na życzenie klienta możemy się też zająć wycięciem...

– A panu co wycięto? – Niemalże krzyknęła. Widziałem już, że jej oburzenie zwyciężyło z moim profesjonalizmem. Matki to najgorsze klientki.

– Ja niestety nie prowadzę samochodu, korzystam z transportu oferowanego dla pracowników naszych salonów.

– Czyli wy nic nie musicie sobie wycinać z mózgu, ale zmuszacie do tego biedne dzieci?

– Nikt nie jest do niczego zmuszamy. Może pani wybrać inny model, jednak wydaje mi się, że syn już zdążył przywiązać się do...

– Pan nie ma serca! Wycięli je panu w tym waszym Medzie?!

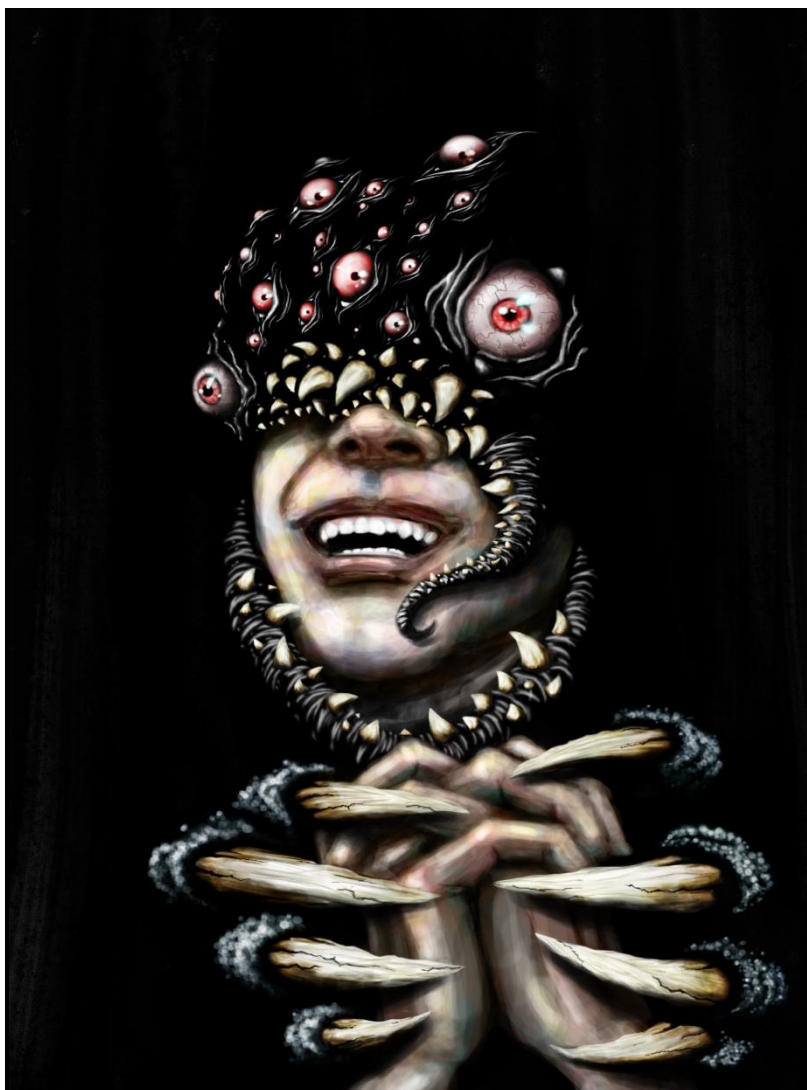
Wiedziałem, że odnosi się do mojej chłodnej i profesjonalnej postawy i miałem nawet ochotę z niej zrezygnować. Ale byłem w pracy, trzeba zachować profesjonalizm.

– Szanowna pani, wspomniałem już, że nie zostałem poddany zabiegom. Zresztą serce jest jednym z narządów podtrzymujących ludzkie życie. Bez serca człowiek nie może istnieć – nie mogłem powstrzymać się od tej malutkiej złośliwości. I być może słusznie, bo wyraźnie ją sprowokowałem.

– Ty... pan nie ma uczuć! Pan nie jest człowiekiem!

Ukloniłem się głęboko, co doprowadziło ją do jeszcze większego szału. Złapała syna za rękę i wyszarpnęła z samochodu. Chłopak wyraźnie nie orientował się, o co chodzi. Sam byłby dla mnie idealnym klientem. Szkoda, że przyszedł z mamusią. Ta wyciągała go siłą z salonu, nie odpowiadając na jego pytania i wyklinając nas głośno.

W duchu wzruszyłem ramionami. Nie mogłem sobie pozwolić, by zrobić to na widoku. A zresztą... I tak premię na najbliższy czas miałem zapewnioną za cudownego cudaka. Wyszedłem przed salon i spojrzałem na ruchliwą ulicę. W dużej mierze to nasza zasługa, że nic nie miga.



MOJE WŁASNE NIEBO

Michał Antosiewicz

Niniejszy tekst stanowi transkrypcję wybranych zapisów z dziennika głosowego, odnalezionego 19 grudnia 2204 roku czasu ziemskiego na terenie stacji Holmes na planecie Kayori 7 układu Kayori. Dziennik, prowadzony przez niezidentyfikowanego członka grupy technicznej, to jedyny dowód w sprawie zaginięcia załogi stacji, jak również ekipy śledczej,

wysłanej w celu jej odnalezienia. Okoliczności zniszczenia pozostałej dokumentacji sporządzonej w czasie tych wydarzeń nie zostały do tej pory wyjaśnione.

4 stycznia 2199

Godzina 12.19

Przylot tutaj był dobrym wyborem.

Mówili, że warunki na miejscu będą trudne. Warunki, ba... Sama podróż, tranzyt na Matkę, stamtąd skokiem nadprzestrzennym do Kayori, na miejscu kolejne transfery... Po jedenastu latach wygrzebałem się z komory hibernacyjnej z takim kacem, jakby ktoś pęsetą wykrywał każde zakończenie nerwowe w moim ciele. A jeszcze lądowanie... No, spacer to to nie był.

I faktycznie K7 nie jest planetą przyjazną. Temperatura na zewnątrz w ciągu dnia dobiega do czterdziestki, po zmroku to samo, tyle że na minusie. Klimat jest suchy, a atmosfera tak uboga w tlen, że wyjście na papieroska w ogóle nie wchodzi w grę. No i grawitacja. Wciąż nie mogę przyzwycząć się do dodatkowych kilogramów.

A mimo to podoba mi się. Czuję, jakbym przez całe życie błądził po omacku, zanim trafiłem w to miejsce. Chyba potrzebowałem zmiany. Drastycznej zmiany. Ziemia stała się zbyt duszna, jakaś taka... przytłaczająca. W sumie to zabawne. Myślę czasem o sobie sprzed wyprawy i nie mogę powstrzymać uśmiechu politowania. Wszystko wydaje się teraz takie odległe, małe, nieistotne. Najwidoczniej to kwestia perspektywy. Potrzebowałem jedenastu lat i trylionów mil jazdy, by nabrać dystansu, ale to dobrze. Nie żałuję.

Z drugiej strony... Wiem, że to nie będzie trwać wiecznie. Któregoś dnia przylecą kolejni, a nas odeślą z powrotem na Ziemię, która po tak długim czasie stanie się zupełnie obca i wroga. Ale to nie dziś. Dziś cieszę się tym moim własnym niebem. Jezu, nie wierzę, że to powiedziałem...

16 stycznia 2199

Godzina 8.33

Jest pięknie. Serio.

Pierwszy raz odkąd tu wylądowaliśmy rozpogodziło się, w końcu mogę zobaczyć okolicę. Baza stoi na płaskowyżu, więc mam co oglądać. Dolinę poniżej porastają ogromne ni

to drzewa, ni to koralowce, wygląda to jak rudy ocean. Daleko dalej wybijają się góry bielutkie jak mąka. Fosberg mówi, że to nie śnieg, a jakieś wapienie, ale to nieważne... Nad tym wszystkim, tą bielą i czerwienią, rozciąga się niebo... Jezu, jakie niebo! Na Ziemi widać takie pewnie dopiero ze stratosfery. Głęboko granatowa, cieniutka powłoka powietrza gęstnieje nad szczytami gór, ale nie na tyle, by przesłonić wychylający się zza horyzontu księżyc.

Nie jest większy niż ziemski, ale orbituje niżej, jakby miał zaraz spaść i potoczyć się przez tę dolinę koralowców wprost do mojej kajuty. Wyraźnie widzę jego krater, doliny, wzniesienia. Wygląda jak te ciastka, nadziewane czekoladą, rodzynkami, orzechami... Jest jeszcze jeden, teraz po drugiej stronie planety, na daleko dalszej orbicie. Gdyby pojawił się nad horyzontem, wyglądałby przy tym tutaj jak okruszek...

Okruszek... Tak, dokładnie. Czas na śniadanie. Słysząc jak burczy mi w brzuchu?

Godzina 9.12

Miło ze strony Bella, że dał mi swój identyfikator.

Ostatnio mam apetyt jak cholerny koala, tylko bym żarł i żarł. Trochę szkoda, że na śniadanie znowu pankejki. Kocham Bella jak brata, ale ta jego amerykańska dieta...

Bo wiecie, mamy tutaj zamiast kuchni automat. Każdy załogant dostaje żarcie przygotowane specjalnie pod jego potrzeby, wiek, płeć, masę ciała, preferencje... Ja lubię mięsko, jakąś szynkę, kiełbaskę, do tego jajka i mocna kawa, to jest dobre śniadanie, a nie jakieś tam naleśniki.

No, ale darowanemu koniowi, jak to mówią...

Zresztą, to i tak wszystko papka, tylko doprawiona. Smak ten sam, wartości odżywcze też, ale... no, papka. Dopiero teraz zaczynam doceniać fakturę jedzenia. Dobrze, że przynajmniej mamy tu te liofilizowane batoniki, przynajmniej można coś poczuć pod zębami.

W sumie chyba powinienem to zgłosić? Mam apetyt, jem za dwóch, a jednocześnie waga stoi. Pójdę z tym do Lindemanna, on coś poradzi... Chociaż czuję się bardzo dobrze. Może to od tego klimatu?

Nie, nie ma sensu zawracać mu głowy, Zresztą i tak ostatnio nigdzie go nie widziałem, pewnie ma lepszą robotę, niż moje obżarstwo.

Skoro o robocie mowa... Burza się skończyła, mogę zająć się tą zerwaną anteną. Przy robocie nie będę myślał o jedzeniu.

A, co tam – jeden batonik na dopchanie nie zaszkodzi.

Godzina 19.08

Pracowity dzień. Naprawilem antenę, złapałem prosiaka. Zjem coś i opowiem.

Godzina 19.52

Dziś na kolację pieczone żeberka i żurek. Oryginalne połączenie, nie powiem...

O czym to ja... A, prosiaki. Townsend, nasz ksenobiolog, nazwał je jakoś tak wymyślnie, z łacińska, ale wszyscy i tak mówią „prosiaki”. Ale nieważne jak je nazwać – i tak są ohydne. Z daleka, fakt, trochę przypominają świnię, tylko mniejsze, wielkości może buldoga. Mają wielkie łby, tępe ryje, wyglądają jak baryła na krótkich łapach. Ale z bliska... Czworo czerwonych oczu, dwa wielkie na czole, po jednym po bokach głowy. Na końcu ryja ssawka z kolcami. No i jeszcze mają coś jakby skrzela. Gdy taki prosiak szykuje się do ataku – a atakuje, bydle, wszystko, co zobaczy – to mu te skrzela zaczynają wibrować i wydawać najupiorniejszy dźwięk, jaki słyszałem. Jak ryk syreny alarmowej zmiksowany z trzaskiem prutej tkaniny. Słyszysz coś takiego i spieprzasz jak najdalej, nogi same cię niosą.

Ale do rzeczy. Tak, złapałem jednego z tych gadów żywcem. W ogóle to było prostsze, niż sądziłem. Wystarczyło zwabić go do śluzu dekontaminacyjnej i wyrównać atmosferę. Gdy tylko zawartość tlenu podskoczyła, prosiak padł nieprzytomny na ryj. Tak, tak, wiem, że zламаłem przy tym z tuzin przepisów bezpieczeństwa... Ale co w tym złego, nic się nie stało. Ważne, że złapałem okaz, na który ekipa zwiadowcza polowała od dłuższego czasu. Już widzę gębę Townsenda, gdy go zobaczy w swoim wiwarium. Wiwarium, tak, dobrze mówię? Chyba dobrze... Śmieszna nazwa.

Swoją drogą lubię tu przychodzić. Nie ma tu, co prawda, wiele. Klatek z poliwęglanu jest sporo, ale większość niezamieszкана. Mimo to czuję się tu trochę jak w sklepie zoologicznym z kosmicznymi zwierzakami, gdzie można popukać w szybkę. Prosiak, jak tylko się obudził i mnie zobaczył, zaraz rzucił się do ataku. Nie będę go drażnił, jeszcze sobie coś zrobi... Inne okazy raczej uciekają. Tylko ślimaki są wyjątkowe. Ani nie atakują, ani się nie boją. Jak się dotknie szyby, to przylegają do niej i zaczynają pełzać za ręką. Ciekawe jak to robią, skoro nawet nie mają oczu... I jeszcze tak śmiesznie falują tymi swoimi nibyskrzydłkami, a ich biała skóra zaczyna migotać kolorami tęczy, jakby chciały człowieka zahipnotyzować.

Coś fantastycznego.

Ale pamiętam, że ostatnio były tu cztery sztuki, teraz są tylko trzy. Mam nadzieję, że żaden nie zwiął ani nie zdechł, szkoda by było. W sumie zdążyłem się już trochę zżyć z tymi pędrakami. Wiem, dziwaczne.

Godzina 19.58

Swoją drogą – Townsend albo któryś z jego pomocników chyba urządził sobie tu noclegownię. W jednej z większych przegród leży dmuchany materac z pościelą. To tak a propos dziwacznych rzeczy.

A co do anteny to naprawa poszła gładko. Zaraz po przywróceniu łączności doszła wiadomość z Matki, pytali, co się u nas dzieje, mówili, że od dwóch tygodni nie dostali żadnych raportów. Odpowiedziałem, że wszystko gra i śpiewa. Teraz tak sobie myślę, że nie było to zbyt zgodne z protokołem. I mogłem się lepiej ubrać do nagrania. No i chyba to Coleman powinien odpowiedzieć, on jest kapitanem na tej łajbie. Powiem mu, jak tylko go spotkam.

Cholera, znowu jestem głodny...

9 lutego 2199

Godzina 10.11

Miałem dziś ładny sen.

Dryfowałem sobie na orbicie nad K7, pode mną czerwone doliny i białe szczyty gór, jeden księżyc po lewej, drugi po prawej. A środkiem mknęło tysiące migoczących punkcików. Statki kolonistów. Powoli opadały, jak małe iskry, a tam, gdzie wylądowały, ziemia pokrywała się błyszczącymi bąblami. Kopuły, pod kopułami miasta, a w miastach ludzie, tysiące, miliony, miliardy. Widzę każdego z nich i wszyscy są tacy... Czyści. Lekcy. Wolni od Ziemi i zaduchu, który tam zapanował.

I nie mówiłbym tu o tym, gdyby nie jeden fakt, jeden szczegół, który mnie też zdziwił. Obudziłem się z uśmiechem. Serio, tak było. Nawet teraz, gdy to mówię, wciąż po twarzy błąka mi się taki głupawy uśmieszek, jak u świeżo rozdziewiczonego piętnastolatka. Dziwne to... ale przyjemne. To miejsce działa na mnie lepiej, niż sądziłem. Z każdym dniem coraz bardziej czuję, że mógłbym przenosić góry.

Już nawet niezbyt potrafię sobie przypomnieć, jak wyglądało życie na Ziemi. No, poza tym może, że było kanałem, z którego każdy próbował wydostać się na wszelkie

możliwe sposoby, choćby wymagało to zbudowania drabiny z trupów. Mam formalnie dwadzieścia siedem lat i doświadczyłem przez ten czas chyba każdej złej rzeczy, jaka mogła mnie spotkać. Nie wiem, ile tego było, dużo czy mało. Wiem tylko, że dość, bym stał się twardy i gorzki. Jak stary orzech, w którego łupinie tłucze się małe, zasuszone nasiono.

Tymczasem proszę – leżę sobie w miękkim łóżku na obcej planecie, gapię się przez okno na obcy księżyc i szczerzę jak głupi do własnych słów, pewien, że już nic złego w życiu mnie nie spotka.

Nigdy nie czułem się równie szczęśliwy.

21 lutego 2199

Godzina 12.15

Nigdy nie czułem się równie źle.

Obudziłem się o, nie wiem, szóstej, siódmej... a dopiero teraz udało mi się zebrać w sobie, by cokolwiek powiedzieć. Jezu, moja głowa... Jakby ktoś robił mi lobotomię rozżarzonym prętem. Chce mi się rzygać, choć nie mam czym. Udało mi się usiąść, spróbuję pójść do jadalni, może żarcie postawi mnie na nogi...

Godzina 12.29

Nie dam rady. Ledwie wyszedłem z kajuty, a już nie mam siły. Siedzę pod ścianą i od kwadransa próbuję skontaktować z Lindemannem. Nie odbiera, a poza mną w sekcji mieszkalnej nie ma nikogo, próbowałem wołać pomocy. Nic.

Godzina 13.51

Udało mi się jakoś doczołgać do jadalni. Nie wiem nawet, co jadłem, wiem tylko, że w połowie zwróciłem wszystko na podłogę. A potem straciłem przytomność i w to upadłem. Teraz cały jestem w rzygach i chce mi się rzygać jeszcze bardziej. Ale przynajmniej głowa aż tak nie boli.

Idę do medbota. To pewnie nic wielkiego, już czuję się nieco lepiej. To raczej żadna choroba zakaźna, baza jest przecież sterylna. Zaraz będę jak nowy.

Godzina 15.07

Co to jest, co to, kurwa...!?

Godzina 21.42

Już... już dobrze...

Jezu, nie, nic nie jest dobrze. Co się tu w ogóle dzieje?

Ocknąłem się w ambulatorium. Nie wiem, jak się tam znalazłem. Medbot powiedział, że podał mi środki przeciwbólowe. Wtedy zrozumiałem, że to właśnie ból mnie obudził. Kark i tył głowy płonęły, jakby zaorano je do gołej kości. Wciąż bolą. Korci mnie, żeby zerwać opatrunek i dotknąć tego, co pod nim.

Och, kurwa, co tu się dzieje...?

S-spytałem medbota, co jest grane. Ledwie mogłem mówić, wciąż szumi mi we łbie od tych analgetyków.

A ten mi na to, że operacja się udała.

Jaka operacja, pytam.

Operacja usunięcia obcego ciała z organizmu, mówi medbot. I podsuwa mi pod twarz jeden z chwytaków. A tam... a tam... O Jezu...

A tam to... coś... ta-ta-ta... ta cholerna pijawka wielka jak dłoń, pokryta kolcami i mackami. Cała we krwi.

To była moja krew. Ja pierdolę, to była moja krew! Medbot zerwał mi to coś z głowy!

Godzina 21.58

Na komunikatorze wciąż cisza. Wywołałem całą załogę, nikt się nie odzywa, cała baza wygląda jak śmietnik. Co się tu, do cholery, dzieje? Ja... ja...

Pójdę pod prysznic. Śmierzę, jakbym nie mył się od kilku miesięcy.



22 lutego 2199

Godzina 4.13

Jestem wykończony.

Od kilku godzin próbuję zasnąć, ale wciąż widzę pod powiekami tę poczwarę. Czuję na ciele jej zęby i te... te jej macki, korzenie, czy co to tam, kurwa, jest...

Wszyscy milczą. Z dwudziestu siedmiu osób załogi nie odezwał się nikt, ani Lindemann, ani Townsend, ani Coleman. Nikt. Olali mnie. Skurwysyny...

Boże, ile bym dał, żeby usłyszeć czyjś głos. Czyjkolwiek. Żeby ktoś zagłuszył szum pulsującej w żyłach krwi i wentylacji w ścianach. Jeszcze trochę i oszaleję od tej ciszy...

Boże, pomóż... Co tu się dzieje?

Godzina 4.22

Co tu się, kurwa, dzieje?

Zajrzałem właśnie do terminala i dopiero co zobaczyłem datę. 22 lutego? Jakim cudem? Przecież był grudzień! Grudzień! Co to za numery, co ci zasańcy mi zrobili? Uśpili mnie na trzy miesiące? Żebym był żywicielem tego pierdolonego ślimaka?

Godzina 6.18

Nie... nie wiem co powiedzieć.

Przesłuchałem wpisy w dzienniku z poprzednich dni. Spodziewałem się różnych rzeczy, ale tego... Głos z nagrań jest mój, na pewno, ale przysięgam – nie pamiętam nic... Ani burzy, ani awarii, ani złapania tej kreatury, prosiaka... Nic, kompletnie, zero... Jakby na dwa miesiące urwał mi się film.

Odeszła mi ochota na sen. Muszę stąd wyjść, a nie chcę nawet myśleć, czego jeszcze się dowiem.

Boję się.

Godzina 11.10

Nigdzie ich nie ma.

Przeszukałem całą bazę, całe tysiąc dwieście metrów kwadratowych. Byłem wszędzie, w dormitorium, laboratorium, centrum komunikacyjnym i magazynach. Wszędzie. Sprawdziłem odczyty z czujników wokół bazy. Nic. Kwatery wyglądają na wciąż zamieszkałe, w hangarze nie brakuje ani jednego pojazdu, skafandry są na swoim miejscu.

Dzieje się tu coś... Coś zajebicie niedobrego, nie-nie...

Szukam dalej. Przecież muszą tu gdzieś być, nie mogli tak o, zniknąć, bez jaj. Skoro wykluczyłem wszystkie możliwe opcje, zajmę się teraz tymi niemożliwymi. Jeśli będzie trzeba, zajrzę do kanalizacji.

Godzina 13.59

Znalazłem ich... Boże, pomóż...

Godzina 14.12

Gossow leżała na dnie swojej szafy, owinięta w prześcieradło i zapakowana w pokrowiec na kombinezony. Nie żyje od dawna. Na samo wspomnienie zapachu chce mi się rzygać i płakać...

Kilku innych też znalazłem wciśniętych w zakamarki ich pokoi. Duplantier leżał w szufladzie pod łóżkiem, między dwiema połówkami materaca, jak krwawa kanapka. Kürsch tkwił w komorze biurka. Wyglądał... wyglądał jak dziecko z twarzą schowaną za ramionami. Pomyślałem, że wciąż żyje, po prostu śpi w tak dziwacznej pozycji. Zostawiłem go więc, żeby spał dalej...

Na więcej nie mam siły. Sam jestem jak trup, skończyły mi się emocje, nawet nie boję się już jak wcześniej. Po prostu siedzę sobie tu, na korytarzu i zaraz... zaraz...

Godzina 16.37

Zaraz się popłaczę.

Odpłynąłem na tym korytarzu i dopiero przed chwilą obudziło mnie zawrodozenie. Przeciągły, nieartykułowany krzyk, stłumiony jakby dobiegał zza ścian. Aż mnie serce zakłuło. Żyje! Ktoś jeszcze tu żyje, jest gdzieś obok! Zamarłem, nasłuchując kolejnego jęku.

To mój brzuch. To on tak wyje.

Nie, nie mam siły płakać, najpierw muszę zjeść. Tak, zjem. Pójdę jeszcze trochę spać. A potem ogarnę wreszcie, co się tu odpierdala. Potem się popłaczę.

Godzina 18.34

Ogarnąłem. Żałuję.

Wiem jak zginęli. I tego też żałuję...

23 lutego 2199

Godzina 19.51

Nie chcę już prowadzić tego dziennika.

Ale bez tego co mi zostanie? Nie wiem, czy ktokolwiek... kiedykolwiek... to odsłucha. Nie dbam o to. Tyle że mówiąc, wciąż jeszcze trzymam się w jako takiej kupie. Poza medbotem nie mam tu do kogo ryja otworzyć.

Siedzę w laboratorium, przeglądam notatki Townsenda. Ma cały folder plików o perłowych aniołach. Tak nazwał te pierdolone pijawki. Perłowe anioły, Jezu drogi, Townsend, ty bałwanie...

Na przykład pisze tak:

Nie jestem w stanie określić, czym są te stworzenia. Ich struktura komórkowa przypomina ziemskie rośliny, lecz anatomicznie blisko im do zwykłego ślimaka winniczka. Jednocześnie zdradzają one cechy charakterystyczne dla innych organizmów, o czym świadczy choćby brak jakiejkolwiek reakcji na zmianę poziomu tlenu w powietrzu. Nie wiem, co jest wobec tego bardziej trafnym stwierdzeniem – to, że organizmy te należą do kilku różnych królestw, czy też może do żadnego z nich? Na pewno wykraczają poza nasze ludzkie rozumienie biologii. Badania nad nimi dostarczą nam całej biblioteki nowych informacji o życiu.

Rzygam.

Albo to:

Anioły nie reagują na zmiany natężenia światła i dźwięków. Ich dominującym zmysłem jest – zdaje się – termorecepcja. Umieszczone w klatkach ze szkła kwarcowego, które przepuszcza promieniowanie podczerwone, okazy są w stanie bezbłędnie śledzić ruch poruszającego się po drugiej stronie człowieka. Po przyłożeniu szyby ze zwykłego szkła wszelka reakcja na ruch zanika.

I tak dalej...

Wszystko się popieprzyło na początku grudnia. Townsend pisze o wypadku. Ha, wypadek, dobre. Wypadek to jest, kiedy sobie palec utniesz, a nie kiedy siądzie ci na karku pierdolony kosmiczny grzyb.

Popełniłem niedopuszczalny błąd. Nie dochowałem niezbędnych środków ostrożności, boję się myśleć, jakie będą tego konsekwencje. Jeden z aniołów wydostał się z klatki. Wcześniej tego dnia znalazłem na jego ciele zmiany pod postacią długich, opalizujących wypustek, fotografie w załączniku...

Faktycznie, są. Ohydne gównno.

...zauważyłem również brak reakcji na bodźce. Po kilku godzinach obserwacji doszedłem do wniosku, że okaz zmarł. Dla pewności wpuściłem do komory gaz paraliżujący... Teraz przynajmniej wiem, że te stworzenia są na niego odporne. Ledwie otworzyłem komorę, okaz wyrwał się z letargu, rzucił na moją rękę i przywarł do niej. Przez rękawicę nie poczułem bólu, ale zadziałał odruch, cofnąłem się. Chcę wierzyć, że na moim miejscu każdy straciłby zimną krew. Udało mi się strącić okaz na podłogę, możliwe, że poczuł, iż gryzie grubą tkaninę, więc sam puścił i odpadł...

No i tu pojawia się ja. Cały na biało.

Nie wiem, co ten chłopak tam robił, ubrany w swój zwykły kombinezon, nie zauważyłem, jak wchodzi. Próbował mi pomóc, zbliżył się... Nawet nie chcę wyobrazić sobie

jego bólu i przerażenia, gdy anioł skoczył na niego i wgrzyzł się w nogę. Nie byłem w stanie sam go uwolnić. Wybiegłem z laboratorium do skrzydła medycznego, złapałem pierwszy z brzegu skalpel, po drodze zgarnąłem jeszcze Haakego i Loomisa. Gdy wróciliśmy, anioł siedział już na karku tamtego biedaka, wpuścił macki pod skórę. Jego ciało pulsowało, jakby wysysał krew ofiary...

Mam ochotę zerwać ten plaster i zdezynfekować jeszcze raz ranę. Kwasem, benzyną, ogniem, czymkolwiek...

Chłopak tymczasem siedział na podłodze zupełnie spokojny, wpatrywał się w swoje nogi. Pomyślałem, że jest w szoku. On jednak podniósł głowę, spojrzał na nas, przywitał się i spytał, czemu tak dziwnie na niego patrzymy. Mówił swobodnie i lekko, trochę niewyraźnie, jakby się upił albo naćpał. Wymieniłem z nim kilka słów, mówił, że czuje się doskonale.

I teraz najgorsze...

Jednak gdy poprosiłem, żeby się nie ruszał i podszedłem ze skalpelem, zareagował gwałtownie. Zerwał się i rzucił na mnie. Obezwładniliśmy go, ale nim zdążyłem coś zrobić, zaczął błagać o litość. Boże, jak on wrzeszczał. Nie sądziłem, że człowiek może wydawać z siebie takie dźwięki, będę miał od tego koszmary.

Stary, nic mi nawet nie mów...

Zabijasz mnie!, krzyczał. I w pewnym sensie chyba miał rację. Nie mogę tak po prostu odciąć tego stworzenia, nie mam pojęcia, jak jego organizm na to zareaguje. Uznałem – a Loomis i Haake zgodzili się z tym – że najlepiej będzie zostawić go do dalszej obserwacji. A ostateczną decyzję podejmę wraz z majorem Colemanem.

Ten materac w jednej z klatek... To dla mnie. Zamknęli mnie w wiwarium między tymi potworami. Skurwysyny.

Godzina 22.03

Ponoć ignorancja to błogosławieństwo.

W takim razie jestem przeklęty...

Mam kolejne notatki Townsenda:

Z początku sądziłem, że pasożyt – bo tym, zdaje się, jest ten organizm – wstrzyknął w ciało naszego przyjaciela jakąś toksynę o działaniu uspokajającym. Z ewolucyjnego punktu widzenia miałoby to sens, spokojna ofiara nie walczy, pozwala na sobie żerować. Jednak tej hipotezie przeczy fakt, że chłopak, widząc, że próbuję usunąć anioła, rzucił się na mnie. Podejrzewam, że gdyby nie Loomis i Haake nie pisałbym dziś tych słów. Nasuwają się więc

dwa rozwiązania. Pierwsze: jeśli anioł używa substancji regulujących zachowanie ofiary, to ma ona działanie silnie uzależniające – to by tłumaczyło ten napad szału, jak u osób uzależnionych w obliczu odstawienia. Rozwiązanie drugie: zachowanie ofiary podyktowane jest dobrem pasożyta, nie jej samej. To by zaś oznaczało, że anioł potrafi – przynajmniej w pewnym ograniczonym zakresie – przejąć kontrolę nad żywicielem, by zapewnić sobie ochronę.

Pierdolony władca marionetek.

Osobiście skłaniam się bardziej ku pierwszej z hipotez, choć ma sporo luk. Na przykład – pacjent nie wygląda na odurzonego. Zachowuje wysoki stopień świadomości i zdolność logicznego myślenia. Reaguje na zmiany w otoczeniu, można z nim rozmawiać. Z drugiej strony – zamknęliśmy go w wiwarium, gdzie siedzi od dwóch tygodni, co u zdrowego na umyśle, trzeźwego człowieka musi wywołać jakiegokolwiek odruchy obronne. U niego taka reakcja byłaby szczególnie silna, bo – jak twierdzą jego koledzy z brygady technicznej – ma trudny, gwałtowny charakter. Tymczasem on, skulony na materacu, uśmiechnięty od ucha do ucha, sprawia wrażenie człowieka, któremu właśnie spełniły się wszystkie marzenia.

Godzina 23.11

Nie mam siły, a muszę czytać dalej...

Zmiany zachowania u pacjenta są daleko bardziej złożone, niż zakładałem.

Tja, pewnie sobie zważyłeś, gdy to odkryłeś, co, stary przyku?

Udało mi się zebrać pokaźny materiał na jego temat. Przeprowadziłem wywiady z jego współpracownikami, za pozwoleniem majora Colemana wyciągnąłem z systemu wszystkie dane personalne i biograficzne, wliczając w to opinie psychologów, nauczycieli i byłych zwierzchników. Na tej podstawie przygotowałem scenariusz rozmowy, którą później zarejestrowałem – plik załączony w folderze.

Hm, faktycznie, jest. Puszczam, uwaga, leci...

– Cześć, możemy pogadać?

To Townsend.

– Oczywiście, o każdej porze, przyjacielu.

A to ja. Zawsze mnie wkurzał mój głos na nagraniach, a teraz... Jest taki miękki, kurwa, lepki, jak rozgotowany makaron. „Przyjacielu”... Ja tak do nikogo nie mówię, do cholery!

Znowu czuję się, jakbym miał tego robala na karku. Dobra, dalej...

– *Jak leci? Potrzeba ci czegoś?*

– *Nie, jest świetnie. O czym chciałeś pogadać?*

– *Opowiedz mi coś o sobie.*

– *Haha, a o czym?*

Serio...? Czy ja serio się tak śmieję? Jak duszona mysz?

– *Zaczynij może od rodziców. Jacy byli?*

– *Najlepsi jakich miałem!*

– *A czym się zajmują?*

– *Szczerze mówiąc... nie bardzo pamiętam. Dawno ich nie widziałem, w tym wieku już raczej nie pracują.*

O, kurwa...

– *A jakie jest twoje najlepsze wspomnienie z dzieciństwa?*

– *Mam wymienić jedno?*

– *Gdybyś mógł.*

– *Trudne zadanie. Słabo pamiętam tamten okres, ale wiem, że ogólnie był szczęśliwy.*

– *Dobra, idźmy dalej. A co ze szkołą i studiami?*

– *Lubiłem się uczyć. To był cały mój świat.*

– *A twoi przyjaciele?*

– *Skupiałem się na nauce. Nie żałuję tego.*

– *Nie miałeś żadnych problemów?*

– *Radziłem sobie, miałem dobre stopnie.*

– *Chodziło mi raczej o życie pozaszkolne.*

– *Nie przypominam sobie żadnych problemów.*

– *Każdy nastolatek ma jakieś problemy.*

– *Nie ja.*

– *Nie kłamiesz?*

– *Nie, po co miałbym?*

– *W porządku. Czy mówi ci coś nazwisko Keira Griffith?*

O, Jezus...

– *Nie.*

– *Założyłeś rodzinę?*

– *Od roku jestem żonaty.*

– *A dzieci?*

– Na razie się nie staramy. Doszliśmy do wniosku, że jeszcze za wcześnie.

Nie wierzę...

Godzina 23.16

Muszę czytać...

Trudno uznać, by pacjent celowo wprowadzał mnie w błąd – wątpię, by miał ku temu powody, rozmawiał chętnie, nie odmawiał odpowiedzi. Sęk w tym, że niemal wszystko co mówi, jest nieprawdą. Jego rodzice zginęli w wypadku, gdy miał rok, nie mógł ich znać. W rodzinie zastępczej doświadczał przemocy, co miało prawdopodobnie wpływ na jego późniejsze problemy psychologiczne. Był uzdolnionym, ale też trudnym dzieckiem, już jako nastolatek miał kontakt z używkami, popełniał drobne przestępstwa. Udało mu się wyjść na prostą, dostał się na inżynierię kosmiczną. W wieku dziewiętnastu lat wziął ślub z Keirą Griffith – kobieta po roku rozwiodła się z nim, jako powód podając bezpłodność męża, rzekomo przez niego zatajoną. Od tamtej pory jest samotny. Tego typu rozbieżności jest mnóstwo. Człowiek z moich dokumentów nie jest tym, którego mam w wiwarium. Współczuję mu.

Dzięki, mordko.

Wszystko więc wskazuje na to, że pasożyt wpływa nie tylko na zachowanie i nastrój, ale również pamięć ofiary. Przynajmniej w pewnym stopniu. Zdaje się, że zainfekowany pacjent potrafi przywołać jedynie dobre myśli i wspomnienia, zaś złe zostają wyparte, zamazane, przeinaczone. Wiem, że brzmi to jak fantastyka, ale innego, bardziej sensownego rozwiązania na razie nie widzę. Pozostaje również pytanie, czemu ta manipulacja ma służyć? Co pasożyt na tym zyskuje?”

24 lutego 2199

Godzina 00.07

Wszystko jest już jasne.

Ostatni plik na dysku Townsenda to zapis z kamery: 3 stycznia, godzina 20. Obejrzałem go i wiem już, jak wyszedłem – on sam mnie wypuścił. Wcześniej przez kwadrans rozmawiał ze mną, tłumaczył, że ten glut steruje mną i że trzeba go zdjąć. Że nie ma serca mnie trzymać w tym stanie... Ja oczywiście przytakiwałem. A ten nawet się nie

uzbroił. Gdy tylko otworzył drzwi, skoczyłem na niego i udusiłem gołymi rękami. Bez jednego mrugnięcia okiem, ze słodkim uśmiechem przyklejonym do gęby.

To, co stało się później, widziałem już na nagraniach z monitoringu ogólnego. Pierwsze trzy ofiary zaatakowałem z zaskoczenia, rozwalilem im głowy o ściany. Potem poszedłem do zbrojowni, pozostali nie męczyci się w ogóle. Wszystkich zastrzeliłem, całe dwadzieścia siedem osób.

Resztę amunicji i broni gdzieś wywoziłem.

Potrzebuję whisky.

5 marca 2199

Godzina 12.56

Co za paradoks...

Mógłbym tu przeżyć kilka dekad. Mam wszystko – żywność, medbota, energię... Mam narzędzia i kwalifikacje, by utrzymać to w porządku. Gdyby wcześniej ktoś to proponował, byłbym pierwszy w kolejce do spędzenia tu reszty życia.

Dziś z trudem przychodzi mi przetrwanie kolejnego dnia.

Nie mogę normalnie spać. Przysypiam tylko czasem w różnych miejscach, gdy ciało jest zbyt wykończone, by działać dalej, po chwili zrywam się ze snu... Każdy posiłek jest walką – najpierw by połknąć, potem by nie zwrócić.

Wciąż nie znalazłem pozostałych trupów. Wszystko jest na nagraniach monitoringu, ale nie mam odwagi oglądać, co im zrobiłem. Wystarczy, że sobie to wyobrażam. Od dziesięciu dni nie robię nic innego, nie potrafię przestać.

To ostatni zapis. Nie ma sensu prowadzić tego dziennika. Teraz, gdy wiem już, że trafiłem nie do nieba, a piekła, muszę się z niego wyrwać. Nie wiem, kiedy. Wiem tylko jak. Jeśli jakiś Bóg istnieje, pomoże mi to zrobić...

14 marca 2199

godzina 17.04

Czuję się jak nowo narodzony.

Spałem dwanaście godzin, zjadłem fajne, podwójne śniadanie – jajecznicę z boczkiem, tosty, nawet pankejkę dobrze weszły. Tego mi było trzeba. Wcześniej czułem się, jakbym kilka tygodni przeleżał w grobie.

Centrum dowodzenia odebrało komunikat z Matki – leci tu kolejna grupa, będą za pół roku. Dziwne, że nie zażądali standardowego potwierdzenia. Zupełnie jakby myśleli, że nikogo tu nie ma...

Poza tym ktoś rozwalił medbota, połamał mu wysięgniki, chyba nie dam rady go naprawić. Najdziwniejsze, że zniknął kolejny ślimak. Szkoda, ale to w sumie nie problem – założę się, że mogę złapać ich więcej. Wystarczy, że wystawię łeb z bazy, a same do mnie przyleżą. Lubią ciepło ludzkiego ciała.

W sumie... Można by tu nawet założyć hodowlę. Po pół roku mielibyśmy dość tych – jak je nazwał Townsend...? – perłowych aniołów, by wystarczyło dla każdego z kolonistów.

Perłowe anioły. Podoba mi się, pasuje. W końcu niebo musi mieć swoje anioły.

PRZYSŁUGA

Monika Godlewska

Muszę prosić cię o przysługę – powiedział mój szef, kiedy deszczowego popołudnia odebrałam telefon. Miał zduszony głos, jakby sam przed sobą się wstydził, że dzwoni. Zrozumcie jedno: nie jestem typem człowieka, który robi przysługi. To inni robią przysługi mnie - małe, jak wyjście do apteki czy po zakupy. Nie jestem leniwa. Po prostu życie czasami tak się kończy.

A jednak zgodziłam się; ulga w jego głosie była wyraźna, kiedy oznajmił, że niedługo się zjawi.

Odłożyłam telefon na kredens, a sama usiadłam w fotelu. Salon spowijał półmrok, za oknem rozlegał się szum ulewy. Dzwonek do drzwi wyrwał mnie z odrętwienia. W progu stał przysadzisty mężczyzna w średnim wieku, w okularach na nosie. Gdy otworzyłam, jego twarz rozjaśnił uśmiech. Trochę za szybki i za szeroki, by mógł być szczerzy. Przy nogach leżał duży czarny worek, ściśle zawiązany.

– Mogę wejść?

Bez słowa wpuściłam mężczyznę do środka. Był na tyle ułożony, by się nie rozglądać. Wiedziałam, co widzi – ledwo dwupokojowe mieszkanie, spadek po babci. Wciąż nie udało mi się wywietrzyć zapachu naftaliny ani zmienić wystroju. Szef wskazał na worek.

– Potrzebuję przechować to do rana.

– Co to jest? – zapytałam.

– Sarna.

Mój szef polował. To jedna z tych informacji, które znali wszyscy w firmie, bo przechodziły one do mózgu na zasadzie dyfuzji. Szef polował. Szef miewał romanse ze stażystkami. Recepcjonistka wybierała się na wczasy na Malediwy, a ta cholerna pinda z działu kadr była właśnie w trzeciej ciąży. Takich wieści się nie słuchało, je się znało. Tak po prostu.

Zatem nie wywarło to na mnie dużego wrażenia. Co nie zmieniało faktu, że nie miałam pojęcia, dlaczego przysługa wiązała się z przytąszczeniem do mojego mieszkania upolowanej sarny w worku.

Wyjaśnił mi to. Patrzyłam na worek, wyobrażając sobie krew wewnątrz. Przed rozlaniem się na moją podłogę powstrzymywała ją jedynie foliowa ścianka. Wystarczyło zahaczyć o drzazgę, a posoka oblałaby nam stopy oraz dywan.

Mój szef tłumaczył zawile i pojęłam, że mija się z prawdą. Żadna historia obfitująca w tyle szczegółów nie może być prawdziwa. Wyjaśniał, że potrzebuje przechować gdzieś mięso, a w domu nie może, bo wieczorem jego żona wyprawia przyjęcie.

– Urodzinowe. Syna. Zapomniałem. – Brał oddech po każdym słowie, jakby nadawał telegram. Chciał, bym przechowała upolowaną sarnę w lodówce. Moja lodówka była jednak zbyt mała, ale szef miał rozwiązanie i na to. Poprosił o udostępnienie wanny.

– Musiałbym tylko przynieść lód – powiedział z entuzjazmem.

– A jeśli będę chciała wziąć... ? – zapytałam, a ostatni wyraz zniknął w ataku kaszlu. Cierpiałam akurat na zapalenie oskrzeli. Od dwóch dni przyjmowałam tabletki z kodeiną i paracetamolem. Przelotem zerknęłam na zegarek; było tuż po siedemnastej.

Szef spoglądał z oczekiwaniem, a ja czułam, że nie mam wyjścia. Nie planowałam kąpieli. Czułam się kiepsko. Pragnęłam wziąć leki. Nie macie pojęcia, jakie są sny po kodeinie – i wcale nie życzę wam, byście się tego dowiedzieli. Wolałam jednak śnić, niż spędzać kolejną bezsenłą noc, zanosząc się kaszlem. Nienawidziłam chwil, w których uświadamiałam sobie, że posiadam narządy wewnętrzne. Na przykład płuca. Moje życie było zdecydowanie lepsze, kiedy zapominam, że je mam.

Szef włożył worek z sarną do wanny i zasypał go lodem. Wyszedł z obietnicą, że wróci rano. Szczerze wątpiłam – nie po imprezie – ale z ulgą zatrzasnęłam za nim drzwi.

Scenariusz na pozostałą część wieczoru był jasny. Zamierzałam wypić herbatę przy książce, zażyć leki, położyć się wcześniej do łóżka. Czytałam jedną z książek po babci. Za oknem deszcz bębnił o parapet. Światło latarni ulicznej rozszczebiało się na kroplach. Lubiłam, kiedy padało. W bezpiecznych ścianach mieszkania nic mi nie groziło.

Nagle zadzwonił telefon. Nie rozpoznałam numeru. Prócz szefa i kilkorga znajomych z pracy jedynymi osobami dzwoniącymi do mnie byli teleankieterzy.

Telefon dzwonił i dzwonił, skoczna melodyjka powoli stawała się nie do zniesienia, a połączenie trwało długo. Na tyle długo, że bym spojrzała na wyświetlacz jeszcze raz, a później zdecydowała się odebrać.

W pierwszej chwili dobiegły mnie jakieś trzaski.

– Tak, słucham? – Byłam pewna, że zaraz usłyszę odgłos przerwane połączenia. – Tak, słucham?

Trzaski przeszły w krótki szum. Rozłączyłam się.

Nie należałam do zbyt miłych osób. Nie otwierałam drzwi obcym – nie życzyłam sobie wścibskich pytań. Rozłączałam się, gdy tylko teleankieter zaczynał się przedstawiać. To

połączenie uznałam za głupi dowcip albo za pomyłkę. Otworzyłam książkę i telefon zadzwonił po raz drugi.

W wesołym dźwięku było coś niepokojącego. Minęła chwila, nim zrozumiałam. Deszcz za oknem ustał nagle, z sąsiedniego mieszkania przestały dobiegać odgłosy teleturnieju. Cisza narastała niczym pajęczyna. Światło w żyrandolu zamigotało. Po suficie przetoczyły się światła samochodu. Odebrałam.

– Tak, słucham.

Tym razem po drugiej stronie usłyszałam chrapliwy oddech. Zamarłam wyprostowana, z telefonem przy uchu.

– Czy tam ktoś jest?

Oddech zmienił się w urywane westchnienie, jak po intensywnym płaczu. Wiem, jak to jest płakać aż do omdlenia, krztusić się łzami i wzdychać, walcząc o oddech.

– Czy wszystko w porządku?

– Nie.

Głos należał do dziewczyny, zdawało mi się, że młodszej ode mnie. Był przepełniony smutkiem, a równocześnie stanowczy.

Kiedy się odezwała, za oknem znowu zaczęło padać, a zza ściany dobiegł aplauz widzów.

Żarówka nad moją głową trzasnęła.

Sądziłam, że iskry spadną na dywan. Wyobraźnia pokazywała mi meble w płomieniach i mnie, konającą pośrodku pogorzeliśka. W rzeczywistości po prostu zgasło światło i cały salon zatonął w półmroku, bo lampka wciąż nie przestawała się palić.

– Czy coś się stało? – zapytałam. Zorientowałam się, że szepczę. – Gdzie jesteś? Nic ci nie jest? Jak się nazywasz?

Odpowiedziała mi cisza. Rozejrzałam się po pokoju. Nie potrafiłam się zmusić, aby zerwać połączenie, ale przestawałam wierzyć, że naprawdę usłyszałam jej głos. – Czy mogę ci jakoś pomóc?

To miała być ostatnia próba. Wtedy ona się odezwała.

– Tak.

– Mam ci pomóc? – powtórzyłam. W moim głosie narastała panika. Nie mogłam jej pomóc. Nie ja. – Słuchaj... nie wiem kim jesteś, ale jeśli masz kłopoty, to powinnaś zadzwonić na policję. Tam ci pomogą. Ja...

Nie mogę ci pomóc. Nie opuszczam mieszkania od wielu miesięcy. Nie umiem pomóc sobie, a co dopiero dziewczynie w potrzebie.

– Masz moje ciało.

Teraz to ja zamilkłam.

Byłam pewna, że się przesłyszałam. Żarówka w lampie zaczęła migotać. Ulewa bębniła o szybę niczym perkusista.

– Nie mam pojęcia, o czym...

– W twojej łazience jest moje ciało.

Otworzyłam usta i zaniosłam się kaszlem. Dziewczyna po drugiej stronie zakończyła połączenie.

Rzuciłam telefon na kanapę, jakby bił od niego żar. Oddech uwiązał mi w krtani, lecz nie wiedziałam, czy to ze strachu, czy z choroby. Wybiegłam z salonu, po drodze zatrzasnęłam drzwi do łazienki i stanęłam w kuchni, oparta o blat. Próbowałam przełknąć ślinę, lecz zaczęłam dusić się kaszlem. Było tak, jakby w programie mojego życia pojawił się niespodziewany komunikat: “Przykro nam, ale organizm, nad którym próbujesz zapanować, nie należy do ciebie!”, a ja nie miałam innej opcji oprócz akceptacji przycisku “okej”.

Czasami myślałam o swoim życiu dokładnie w ten sposób. Możecie winić moją pracę. Bywa, że w branży komputerowej trudno wrócić do rzeczywistości.

Kaszlałam, aż dostałam odruchu wymiotnego, i nagle przestałam. Nie marnowałam czasu. Wysypałam na dłoń tabletki i połknęłam je. Nie, nie tyle, żeby się zabić. Chciałam po prostu przestać kaszleć. Byłam konsekwentna w działaniu i nigdy nie przekraczałam zalecanej dawki dobowej, ale czasami przyjmowałam ją za jednym zamachem.

Oparłam się plecami o blat i osunęłam na podłogę, przymykając oczy. Bolały mnie żebra, a pod czaszką huczało. Dopiero po chwili usłyszałam, że szum deszczu ustał. Pojawił się nowy dźwięk.

Delikatny szelest, jakby ktoś usiłował rozwiązać plastikowy worek. Korytarz tonął w półmroku, z otwartych drzwi salonu sączyło się słabe światło lampy. Szelest był coraz bardziej wyraźny. Podniosłam się na drżących nogach. Podeszłam do drzwi łazienki, by je otworzyć i zapalić światło.

Worek z sarną – sama już nie wiedziałam, czy była tam sarna – stanowił groteskowy widok.

Przez chwilę do moich uszu dobiegało jedynie bicie serca. A później worek drgnął.

Coś szarpało plastikiem, by przebić się na zewnątrz. Usłyszałam trzask pękającej folii i z dziury wysunęły się palce – najpierw jeden, potem dwa, trzy i wreszcie cała dłoń, bez wątpienia kobieca, o drobnych, chudych palcach, długich, choć połamanych paznokciach, w dodatku brudna. Być może to była krew. Krzyknęłam i wybiegłam z łazienki, zatrzasnąjąc za

sobą drzwi. Skryłam się w salonie. W zupełnej ciszy mieszkania doskonale słyszałam rwanie worka na strzępy. A później kroki w łazience.

Wbiłam wzrok w drzwi. Były uchylone, zapraszające. Serce łomotało mi w piersi. Kroki ustały. Zdawało się, że słyszę cichutkie skrzypienie zawiasów. Z mojej sypialni dochodził miarowy szum komputera, który właśnie rozpoczął aktualizację. Światło lampy zamigotało i zgasło. Miotalam się po ciemnym pokoju niczym zwierzę w potrzasku. Nie dałam rady oddychać, tak samo jak kiedyś, gdy narzucono mi na głowę worek i powoli odcinano dopływ powietrza. Od tamtej pory ani razu nie opuściłam mieszkania.

Opadłam na kolana, wierząc, że bliżej podłogi łatwiej będzie mi walczyć o oddech. Nie miałam pojęcia, gdzie się skryć. Spojrzałam na drzwi. Na krótką chwilę salon rozjaśnił blask reflektorów; kolejny samochód przejechał ulicą. Podpełzałam do ściany, by zająć miejsce tuż za drzwiami, i przycupnęłam na kolanach. Strach ścisnął moje jelita, ale wiedziałam, że ktokolwiek jest w mieszkaniu – *ona*, bezimienna *ona* z połamanymi paznokciami – nie poddam się bez walki. Wtedy również walczyłam, w worku na głowie, wykorzystując ostatnie ilości powietrza. To było w moim kodzie genetycznym, tuż obok jasnego koloru włosów i dużych, brązowych oczu sarny.

W przedpokoju rozległy się kroki. Wolne, niemiarkowe, jakby powłóczyła nogą albo słaniała się, wędrując od ściany do szafy. Odetchnęłam i zaczęłam odliczać. Szła dwa, trzy kroki i zatrzymywała się na chwilę. Wreszcie usłyszałam jej oddech, chrapliwy, jakby miała zmiażdżoną tchawicę. Rzuciłam okiem w kierunku kanapy. Mój telefon wciąż tam leżał, bezużyteczny. Dzieliły mnie od niego może cztery metry, zbyt daleko, by sięgnąć ręką. Poza tym do kogo miałabym zadzwonić? Wyobraziłam sobie, jak przerywam szefowi imprezę urodzinową w momencie, gdy jego syn zdmuchuje świece, życząc sobie, by ojciec nie mordował więcej kobiet ani saren – i mówię, że zdobycz ożyła i chowam się przed nią w salonie.

Była tuż za drzwiami. Słyszałam wdech i wydech, wyczuwałam obecność. Klamka opadła powoli, gdy *ona* położyła na niej dłoń.

Zadrapało mnie w gardle i zaczęłam kaszleć, nim zdołałam się powstrzymać.

Nitki śliny wyciekły mi z ust prosto na podłogę. Oparłam się o dywan, aby nie upaść na twarz. Kiedy przestałam, kręciło mi się w głowie, a ulewa za oknem zapamiętała chłostała okna. Nikt nie wszedł do salonu, nikt nie czaił się za drzwiami. Wstałam z kolan, opierając się o klamkę.

Ciemność rozproszyło białe światło ekranu. Telefon zadzwonił znowu. Ten sam numer, trzecia próba kontaktu. Wiedziałam, że do niczego to nie doprowadzi. Czasami czułam

rzeczy, nim miały szansę się zadziać. Nie był to przydatny dar: pewnego wieczoru wybrałam się pobiegać i nie wyczułam, że zostanę napadnięta i niemal zamordowana. Odebrałam.

– Musisz mi pomóc.

To był ten sam głos, dziewczęcy i smutny, a w tle szумы i trzaski. Wyjrzałam na korytarz.

Drzwi do łazienki pozostawały zamknięte.

– Nie mam twojego ciała – oświadczyłam. Pociągnęła nosem.

– Nie. Pomyliłam się.

– Powiedz mi, gdzie ono jest.

– Muszę kończyć.

Rozłączyła się, a ja rzuciłam telefonem z przekleństwem. Lampka zamigotała. Dziewczyna przerwała połączenie, lecz czułam przy sobie jej obecność. Była tutaj, tuż u mojego boku. Dochodził mnie słaby zapach lakieru do włosów, którego mogła kiedyś używać.

Te niedorzeczne myśli złożyłam na karb kodeiny. Sprawdziłam historię połączeń w telefonie, lecz nieznany numer tkwił na liście tuż nad numerem szefa. Wybrałam go, ale sekretarka oznajmiła, że połączenie nie może zostać zrealizowane. Nie miałam czasu, by czekać. W wannie tkwiło sarnie truchło, w moich oskrzelach szerzyło się zapalenie, a ciało zżerała gorączka. Smutny duch, który krążył po salonie, był najmniejszym ze zmartwień.

Mieszkanie przyzwyczajone było do obecności tych, którzy odeszli. Poprzednia właścicielka, moja babcia, czasami komunikowała się z nimi na prośbę tych, którzy zostali. Mój ojciec nie wierzył w duchy. Ja także nie wierzyłam, choć przed laty babcia pokazała mi swój okrągły stolik i tablicę ouija. Paliła świece, których płomyki zaczynały dygotać jak najęte, kiedy w pokoju zjawiał się gość. Gdy tu zamieszkałam, na początku czułam czyjaś obecność, ale nie miałam zamiaru nikomu pomagać. Szybko przestały przychodzić. Aż do tej chwili.

Zakaszlałam krótko. Sprężyna w kanapie mruknęła. Schowałam książkę. Coś mi mówiło, że nie pozbędę się tej dziewczyny tak łatwo.

– No dobrze – zaczęłam, odwracając się od biblioteczki. – Zadzwoń do mnie. Porozmawiajmy. Lampa zgasła na chwilę, by zaraz rozjarzyć się niespodziewanym światłem.

– To znaczy tak, czy nie? – zapytałam, ale nie dostałam odpowiedzi. – Rozumiem, że nie.

Ukryłam twarz w dłoniach. Nie nauczyłam się żadnej formy kontaktu ze zmarłymi. Wyrzuciłam tablicę ouija razem z całym mnóstwem porcelanowych kotków. Meble pozostały, lecz ich zawartość była wyłącznie moja.

Musiałam wymyślić coś innego. Usiadłam ciężko na sofie.

Usłyszałam dźwięk dzwonka telefonu. Nie mojej komórki, a starego aparatu, który stał w przedpokoju na szafce jako dekoracja. Miał okrągłą tarczę i smukłą słuchawkę na wi-dełkach. Nie był podłączony do prądu.

– W porządku – mruknęłam. Przyniosłam go do salonu, postawiłam na szafce. Wróci-łam na kanapę i wbiłam w niego wzrok, jakbym spodziewała się ataku. – Pamiętasz podział li-ter na klawiaturze telefonu? – zapytałam nieco głośniejszym głosem. – Dwa to ABC, trzy DEF i tak dalej... A to jedna dwójka, B to dwie, C to trzy... jedynka oznacza “tak”, a zero to “nie”. Rób prze-rwy po każdym słowie. Rozumiesz mnie? – Telefon brzęknął krótko. Pokiwałam głową. – Świetnie. Jak się nazywasz?

Wybrała numer: dwa, dwukrotne sześć, znowu dwukrotne sześć i znowu dwa.

– Anna? – spytałam, a ona wybrała jedynkę. – W czym mam ci pomóc, Anno?

Tarcza obracała się tak szybko, że przestałam nadać. Poszłam do kuchni po kartkę i długopis, po drodze zaglądając do łazienki. Kostki lodu roztopiły się, a worek taplał w wo-dzie. Nie miało to w tym momencie znaczenia.

Anna odpowiadała prędko, z pewną wściekłością. Zapisywałam cyfry, równocześnie próbując sobie przypomnieć słowa babci, ale to było trudne. Nigdy jej nie słuchałam. To, o czym mówiła...

– Najpierw trzeba mieć pomysł, by obłąskawić ducha.

To akurat sobie zapewniłam.

– Później jakoś idzie. Musisz zorientować się, czego od ciebie chce.

To też wiedziałam; potrzebowała pomocy.

– Następnie musisz poznać historię i cały problem. To może być trudne, bo nie opowie tego tak, jak żywy rozmówca.

Anna zdobyła się na to, by zadzwonić do mnie, co najwyraźniej zjadło większość jej energii. Podejrzewałam, że w przeciwnym razie jej wściekłość rozniosłaby mój salon jak bomba. Powtórzyłam w myślach wskazówki babci. Musiałam uwierzyć jej na słowo; babcia znała się na rzeczy.

Zatem Anna. Nie mogłam zbyć jej byle czym. Ten duch potrzebował konkretnej po-mocy i z jakiegoś powodu wybrał mnie – chorą na ciele i duszy kobietę, cierpiącą na agorafobię po ataku w lesie. Wspomnienie uderzyło mnie po raz kolejny. Jęknęłam, a telefon na chwilę ucichł. Długopis wypadł mi z dłoni.

Byłam w lesie za miastem, biegałam ledwo widoczną dróżką. Jesienią zmrok zapadał szybciej. Poprzedniego wieczoru także biegałam, a na polanie dostrzegłam dwie sarny – dużą i małą. Zatrzymałam się, a one podniosły głowy i przez krótki czas wpatrywałyśmy się w sie-

bie, czując międzygatunkową więź, jaka łączy wszystkie kobiety. Nim czmychnęły między zarośla, ta starsza kiwnęła głową. W pozdrowieniu lub akceptacji, nie miałam pojęcia. Były piękne. Następnego dnia to ja pobiegłam w krzaki i to ja stałam się zwierzyną. Ten, kto na mnie zapolował, musiał znać moje trasy i mieć mnie na oku od dłuższego czasu. Tak twierdzili policjanci. Nigdy go nie złapali, a ja już nigdy nie opuściłam mieszkania. Podniosłam wzrok. Pojęłam, dlaczego Anna wybrała właśnie mnie. Chodziło o sarnę i o las.

Chodziło o to, że ja *mu* się wyrwałam. Ona nie zdołała uciec.

Doświadczyłyśmy tego samego. Spojrzałam na kartkę pokrytą cyframi, podniosłam długopis.

Drżącą ręką dopisywałam nad numerkami odpowiednie litery.

Jej słowa mnie zmroziły. Zaczęłam nerwowo kaszleć. Uspokoiliam się, i sapiąc, dotknęłam czoła. Było rozpalone. Zapadła cisza, tarcza telefonu ani drgnęła. Za oknem szumiał deszcz. Moja sąsiadka zaczęła oglądać sitcom.

– Nie chcesz chyba... – rzuciłam cicho. Drzwi do salonu zatrzęsły się. Słowa Anny były chłodne, wykalkulowane.

“Moje ciało jest w lesie, blisko starej fabryki. Kryjówka dzieciaków. Tam była sarna. Zabił ją po mnie. Idź na policję. Powiedz im.”

– Nie wychodzę z domu – zaczęłam i pokręciłam głową. – Anno, przykro mi, ale nie wychodzę z domu. Rozumiem, co cię spotkało. Doskonale to rozumiem. Nie wyjdę stąd. Nigdy. – Pokręciłam głową. Moje oczy wypełniły się łzami. Na samą myśl o opuszczeniu mieszkania robiło mi się słabo. Wytarłam dłonie o spodnie. Kiedy ostatnim razem próbowałam, tuż za drzwiami zabrakło mi powietrza i wróciłam, chwiejąc się i przytrzymując ściany.

– Jeśli chcesz, zadzwonię na policję. Powiem im wszystko, co każesz. Tylko nie zmuszaj mnie, bym stąd wyszła. Proszę.

Żarówka w lampce zaczęła jaśnieć coraz mocniej, aż nagle pękła z trzaskiem. Zapadła ciemność. Moja komórka włączyła się jak po dotknięciu palcem. Tarcza telefonu kręciła się w szaleńczym tempie, a zasłony w oknie falowały. Miałam wrażenie, że dźwięk dzwonka wwierca mi się w czaszkę jak świder. Schyliłam się, osłaniając głowę, ale Anna nie miała zamiaru przestać. W moim umyśle rozległ się głos babci.

– Czasami nie ma innego wyboru, jak wyrazić zgodę. Szczególnie gdy masz do czynienia ze wściekłym duchem.

– Dobrze! – krzyknęłam, zerwawszy się na równe nogi. – Dobrze! Zrobię to, tylko już się uspokój!

Wszystko ucichło. Zapadła ciemność, jakbym nagle straciła wzrok. Moje słowa przebrzmiały. Obiecałam coś zmarłej duszy. Mogłam nie dotrzymać słowa danego sobie – i często nie dotrzymywałam – ale nie mogłam złamać takiej obietnicy. Babcia mówiła mi także i o tym. Niedochowanie zobowiązania wobec ducha jest bardzo kosztowne.

Sporo czasu minęło, nim ruszyłam się z miejsca. Anna traciła cierpliwość, wyczuwałam bijący od niej żar. Musiałam uzbroić się przed opuszczeniem mieszkania; przyjąłam leki, wyciągnęłam z szafy zakopane ubrania. Wełniany sweter, kalosze i kurtkę z wodoodpornego materiału. Biła od nich woń stęchlizny. Wełna drażniła mi skórę na ramionach. Kaszlnęłam.

– Spróbuję to zrobić – rzekłam z naciskiem. – Być może za chwilę wrócę. Miewam ataki paniki – dorzuciłam na usprawiedliwienie.

Ręce mi drżały, gdy chwyciłam za torbę, znalazłam klucze i wreszcie otworzyłam drzwi. Klatka schodowa ziała chłodem. Każdy krok był powolny i ciężki. Ucisk w gardle powodował kaszel. Zamknęłam drzwi, a gdy w uszach rozbrzmiał szcęk zamka, ledwo powstrzymałam się, by ich nie otworzyć i wrócić. Dreszcze przemykały mi po plecach, a ramiona drżały jak w febrze. Zeszłam po schodach na miękkich kolanach. Spodziewałam się, że za chwilę ujrzę przed sobą zamaskowanego człowieka z workiem w dłoniach.

Odwrociłam się; schody znikają w ciemnościach, ale nikogo prócz mnie tu nie było. Anna pozostała w mieszkaniu. Piętro niżej drzwi otwarły się z impetem, a ja aż przysiadłam na schodku, kuląc ramiona. Młody człowiek zapalił światło i zbiegł na dół. Liczyłam do dwudziestu i czekałam. Dopiero wtedy ośmieliłam się zejść.

Stałam tuż przy wejściu do budynku. Odetchnęłam. Zapach powietrza drażnił moje nozdrza, a deszcz chłodził rozpalone czoło. Nie miałam czapki ani parasola. Na ciasnym parkingu stało kilka aut, spod których spoglądały na mnie obce oczy.

Posterunek policji nie mieścił się daleko, wystarczyło wyjść z osiedla i przejść przez nieduży skwer. Odwróciłam się, by rzucić okiem w stronę mieszkania. Niemal widziałam ruch firanki. Ulica była pusta. Cienie spod samochodów sunęły w moim kierunku, wyciągając ręce. Ruszyłam biegiem.

Park był cichy i tonął w ciemnościach. Spod potężnego baldachimu drzew było widać niewiele nieba. Brnęłam przed siebie, skupiona na pomarańczowym punkcie na końcu alejki. Krzaki zaszeleściły. Nie odwracałam wzroku od celu. Wiedziałam, co czai się po obydwu stronach. Kątem oka widziałam, jak tuż obok drzew stoją ludzie w czarnych kapturach, w okrągłych okularach, od których odbijało się światło latarni. Nieruchome sylwetki odwracały za mną głowy, by śledzić każdy mój ruch. Przyspieszyłam, zasłaniając twarz rękami i wybiegłam z parku.

Komisariat mieścił się po drugiej stronie ulicy. Wewnątrz budynku panował spokój. Jarzeniówki mruczały, dając ostre, białe światło. Potrząsnęłam głową, z włosów ściekała mi woda. Nikt nie zauważył mojego przybycia. Gdy zaczęłam kaszleć, zza jednych drzwi wychylił się młody mężczyzna.

– Słucham?

Nie miałam pojęcia, co powiedzieć. Pustkę w głowie wypełniało bzyczenie lamp pod sufitem.

Podniosłam wzrok. Policjant był młody, nieco nerwowy, jakby był to jego pierwszy samodzielny dyżur. Co rusz mierzwił sobie włosy. Miał zdrową, śniadą cerę i ujmujący uśmiech. Widać było, że stara się za bardzo, co mogło zarówno pomóc mi, jak i nastreczyć kłopotów.

– Chciałabym... zgłosić morderstwo. – I wtedy znowu dostałam ataku kaszlu. Wydobywał się z samego dna płuc, łagodził drapanie w gardle i sprawiał niesamowitą przyjemność. Kiedy uspokoiłam oddech, poczułam, że czegoś mi brakuje.

Policjant wpatrywał się we mnie z napięciem.

– Dzwoniono do mnie z numeru, którego nie znam. To była kobieta, roztrzęsiona. Biegała w lesie, przy starej fabryce i zobaczyła, jak w zaroślach ktoś zakopywał duży worek, wielkości człowieka.

– I zadzwoniła właśnie do pani? – zapytał policjant z powątpiewaniem.

– Może wybrała numer na chybił-trafił – odparłam.

– Mogę zobaczyć pani połączenia? – Przesunęłam telefon po blacie, przy którym staliśmy i wyświetliłam to, co chciał. – Tu są trzy.

– Nie powiedziałam, że zadzwoniła do mnie raz.

Odsunął telefon, najpierw zapisując na kartce numer.

– Jak się pani nazywa? – zapytał mężczyzna, schodząc wiersz niżej.

Przedstawiłam się.

– Gdzie pani mieszka?

Podaliśmy adres.

– Czym się pani zajmuje?

– Programowaniem.

Zapisał to.

– Co to ma wspólnego z tym, z czym przyszłam? Proszę zapisać to, co powiedziałam: las, nieopodal starej fabryki. Nikt nie zgłosił żadnego zaginięcia w ostatnim czasie? Dlaczego pan po prostu nie sprawdzi tego, co podaję? – W moim poprzednim życiu, życiu *sprzed*, kiedy

tylko czułam się ignorowana, tak jak teraz, zaczynałam być napastliwa. Tak jak teraz. Zaskoczyło mnie to i ucieszyło jednocześnie. Miło było zobaczyć resztki siebie *sprzed*.

– Choruje pani na coś? – Policjant wbił we mnie wzrok.

– Słucham? Nie – odparłam i zaczęłam kaszleć.

– Przyjmuje pani jakieś leki?

– Teraz tak. Kodeinę. Mam zapalenie oskrzeli.

– Bierze pani narkotyki?

– Nie bierze się narkotyków z powodu zapalenia oskrzeli.

– Narkotyki bierze się z wielu powodów, proszę mi wierzyć.

Zapadła cisza. Policjant ciągle pisał coś na kartce, a ja oderwałam od niego wzrok i rozejrzałam się po sali. Była duża i pusta o tej porze, choć pewnie przed południem kręciło się tu wiele osób. Na ścianie wisiała tablica, gdzie piętrzyły się przypięte kartki. Na kilku widniały podobizny zaginionych. Podeszłam tam. Przeleciałam wzrokiem po twarzach. Trzy kobiety, dwóch mężczyzn. Jedna z kobiet miała na imię Anna. Nazwisko było znajome. Nie wybrała mnie tylko dlatego, że niemal podzieliłam jej los, ani z powodu zdolności. Znała mnie. W życiu *sprzed* pracowałyśmy razem. Słyszałam plotki, że miała romans. Anna o drobnych rysach twarzy i wielkich oczach. Czarno-biały wydruk nie oddawał lekko zarumienionej cery ani ciemnych loków, ale to była ona. Zerwałam kartkę z tablicy i położyłam na blacie przed nosem policjanta. Wzdrygnął się.

– Proszę sprawdzić ten trop – warknęłam.

Opuściłam posterunek, choć wołał za mną. Deszcz już niemal nie padał. Korony drzew szumiały cicho, a park rozciągał się przede mną w oczekiwaniu. Przy każdej latarni stał ktoś spowity w czerń, pozbawiony twarzy. Ulicą nadjechał samochód; zwolnił i zatrzymał się tuż obok. Mężczyzna za kierownicą powoli odwrócił głowę. Krople zalewały szyby, ale widziałam, że na głowie ma czarny kaptur, a w okrągłych okularach odbija się światło. Wyłączył silnik.

Odwróciłam się i pobiegłam do parku. Postacie przy latarniach wyciągały ręce, chwyciły mnie za ubranie, szarpały za włosy. Odpychałam je. Biegłam przed siebie, z każdą chwilą coraz szybciej, a krok w krok za mną podążał człowiek z samochodu.

Na końcu parku, na ścieżce, stała sarna. Zwróciła ku mnie głowę i ze spokojem patrzyła. Minęłam ją i wtedy ruszyła się z miejsca. Zatrzymała tego, który mnie gonił, a ja wybiegłam na ulicę, niemal potrącając przechodnia. Pobiegłam prosto do domu, choć mężczyzna coś za mną krzyczał. Z każdym kolejnym stopniem ulga zalewała mnie jak ulewa. Drżącymi

dłońmi sięgnęłam po klucze i otworzyłam drzwi. Zatrzęsnęłam je i dopiero w ciemnym mieszkaniu zdołałam odetchnąć.

Tęskniłam za Anną. Za obecnością człowieka w moim życiu. Kaszlałam i zdejmowałam kolejne warstwy ubrań. Wciąż nie zapalałam światła.

W mojej wannie nadal leżała sarna. Rozerwałam worek i przyjrzałam się jej. Była mała, jeszcze niedorośła, zaledwie koźlę. Nie zastrzelona, a ugodzona nożem. Nakryłam ciało tak, jakby worek był całunem i wyszłam, gasząc za sobą światło.

Położyłam się późno, a wstałam wcześniej. Najpierw szukałam dobrego sposobu na rozpuszczanie leków w wodzie, a później sprawdzałam, czy dziennikarze dowiedzieli się o Annie. Wierzyłam, że młody policjant sprawdzi ten trop. Niektóre sprawy są pewne i przyjmuje się je za coś oczywistego. Goście mojej babci, tak samo jak Anna, mieli swoje życie *sprzed* oraz nieuregulowane sprawy. Ja również miałam swoje życie *sprzed*. Stałam się duchem za życia, choć nie było żadnego medium, do którego mogłam zwrócić się o pomoc. Mój szef przyszedł późnym popołudniem. Wpuściłam go do środka i zaproponowałam wodę.

Miał wczorajszy wygląd i z całą pewnością kaca. Usiadł na fotelu w salonie.

– Lemoniada – powiedziałam po powrocie z kuchni i wręczyłam mu wysoką szklanę, napełnioną niemalże po brzeg. – Dla lepszego smaku.

Moja sąsiadka za ścianą oglądała program informacyjny. Głęboki, melodyjny głos spikera mówił o odnalezieniu ludzkich szczątków w lesie otaczającym nasze miasto, tuż nieopodal zamkniętych zakładów mięsnych. Gdy szef wypił, dołałam mu kolejną porcję. Drapało mnie w gardle i ciągle pokasływałam. Musiałam radzić sobie już bez leków, bez tabletek ko-deiny z paracetamolem. Wszystkie – to jest, sześćdziesiąt cztery – rozpuściłam w lemoniadzie. Dla lepszego smaku.



Mariusz Kaszyński

Patrzę na przewrócony stolik. Nie rozumiem tego, ale właśnie on wydaje mi się w tej chwili ważny, właściwie najważniejszy. To dziwne, by pośród dymu, kurzu i walających się dookoła wszechobecnych i właściwie nierozpoznawalnych już resztek niedawnej sali teatralnej przede wszystkim myśleć o jakimś cholernym stoliku. A jednak. Mam go przed oczami i nie potrafię oderwać wzroku. W pewien sposób przyciąga mnie. Nie fizycznie, rzecz jasna, przyciąga moje myśli i wolę. Co więcej wydaje mi się wrogi, jakby stanowił jakieś niezrozumiałe zagrożenie.

Stolik jest okrągły, bodajże dębowy. Pospolity mebel, może nie najprostsz y z możliwych, ale z pewnością też nie kosztował majątku. Teraz leży na boku, rzucony podmuchem eksplozji, lecz chyba nie doznał większych uszkodzeń. W każdym razie jego wyprofilowane nogi są całe. Błat chyba również.

Wymaga to ode mnie kolosalnego wysiłku, ale zmuszam się, by odwrócić głowę i rozejrzeć się dokoła. Oderwać myśli od tego cholernego mebla. Przekręcam szyję i wrywam się z transu. To, co dzieje się dookoła, przykuwa całą mą uwagę. A dzieje się dużo, a przynajmniej działo się, bo znajduję się na gruzowisku. Z przerażeniem chłonę zakres zniszczeń. Gdybym nie pamiętał, dokąd się udałem, nigdy bym nie zgadł, że to teatr. Nie teraz, nie po wybuchu.

Nie mam wątpliwości, że eksplodowała bomba. W zakamarkach pamięci pojawia się myśl o pogroźkach kierowanych pod adresem Madame Cornelius. Kto je wysuwał? Tę wiedzę zasnuwa mgła. Przypomina mi się za to jakaś rozmowa, dyskusja, a właściwie jej strzępy. Argument, że występ medium w miejscowym teatrze zakrawa na obrazę boską. I przeciwne, że wkroczyliśmy z przytupem w wiek dwudziesty, przetrwaliśmy wojnę światową, a nadal dla wielu osób postęp i wolność, jaką ten ze sobą niesie, pozostaje nie do zaakceptowania. Że dalej słuchają głosu zapyziałych kapłanów opierających swój osąd świata na księdze o rodowodzie grubo sprzed dwóch tysięcy lat i zatykających uszy i oczy na wszelkie aspekty nauki, bo te nie są już dłużej w stanie potwierdzać ich skostniałego

światopoglądu. Ta wymiana poglądów mnie porywa, czuję oburzenie, wręcz gniew, lecz szczegóły mi umykają, nie potrafię się nawet ustawić po którejkolwiek ze stron. Po wybuchu doznałem jakiegoś rodzaju wstrząsu, który utrudnia zebranie myśli.

Staram się więc nie roztrząsać przyczyn, są nieważne. Odnalezienie zamachowca bądź zamachowców to zadanie organów ścigania. Czemu miałbym sobie łamać głowę, i to teraz, gdy jeszcze w uszach nie przebrzmiał odgłos eksplozji? W tym momencie najważniejszą rzeczą dla mnie powinno być ratowanie siebie i innych.

Rozglądam się. Przed wybuchem teatr zdawał się pełen, a jednak widzę zaledwie kilka osób. Może nie jest to tak niezwykle, bo łoże, a może wręcz cała ściana, na której się znajdowały, runęły do przodu, odcinając nas od większej części widowni. Nie chcę nawet myśleć, co stało się z ludźmi siedzącymi w dalszych rzędach. Chciałbym wierzyć, że nic im nie jest, lecz obstawiam raczej, że zostali zgnieceni. Jeśli tak, ofiar może być naprawdę wiele. Ta myśl sprawia, że czuję słabość.

I przerażenie. Patrzcie, oto dzieło wyznawców boga głoszącego miłość bliźnich! Uwielbienie poprzez masakrę!

Potrząsam głową, starając się zająć myśli czymś innym. *Skup się na tu i teraz*, powtarzam gorączkowo w duchu.

Tu i teraz...

Wraz ze mną naliczyłem siedem osób. Jest Madame Cornelius, chuda, niska osóbką przypominająca raczej zagłodzone dziecko a nie dorosłą kobietę, widzę jej pomocnicę, zupełne przeciwieństwo swej pracodawczyni – babsko wysokie i postawne, z którego dałoby się wykroić dwóch, wcale nie wątych mężczyzn. Reszty nie znam. Obok mnie stoi dystyngowany mężczyzna. Stracił nakrycie głowy, a jego garnitur, a nawet wciśnięty w oczodół monokl są strasznie zakurzone, co jednak nie odbiera mu aury godności. Są dwie kobiety, młode, jedna to wręcz pensjonarka. Kucają na brzegu sceny, wtulone w siebie i wyraźnie przerażone. Jest jeszcze młody chłopak w powycieranych i za dużych ubraniach. Szczeniak, który - mógłbym się założyć – dostał się na seans pokrętnie i bez biletu. No i oczywiście ja.

Raz jeszcze przebiegam wzrokiem po gruzowisku, ale nie dostrzegam nikogo więcej. Na całe szczęście nie zauważam też żadnych ludzkich szczątków, choć można by się było ich spodziewać.

– Za sceną na pewno jest drugie wyjście – odzywam się jako pierwszy. Głos nie brzmi pewnie. Każdy wyraz okupuję kaszlem, w powietrzu nadal unosi się masa kurzu.

Przez moment wygląda na to, że moje słowa przeszły bez echa, lecz wreszcie chłopak idzie na tył sceny. Wolno, z oporami, jakby bał się zrobić to w pojedynkę. Wraca dopiero po dłuższej chwili.

– Nie da się – stwierdza piskliwym głosem.

– Jak to się nie da? – Baryton dystyngowanego mężczyzny w garniturze, mimo brzmiącego w nim zdumienia, brzmi uspokajająco. Poznaje, że to człowiek przyzwyczajony do wydawania poleceń. Naturalny przywódca. Przejmuje tę rolę niemal bezwiednie, jakby mu się należała. – Dobrze sprawdziłeś?

Szczeniak nie odpowiada, lecz na pomoc rusza mu pomocnica Madame Cornelius. Przez głowę przemyka mi myśl, że sunie niczym czołg przez okopy frontu wojny światowej, lecz porównanie nie wywołuje wesołości. Przeciwnie – mdłości. Pragnę się stąd wydostać i to jak najszybciej. Będę się śmiał i okazywał ulgę, gdy stanę ponownie na ulicy.

– Nawet nie drgną, chyba coś zawaliło się również po drugiej stronie.

Ta diagnoza sprawia, że dwie młode kobiety tulą się do siebie jeszcze mocniej. Zerkam na jegomościa z monoklem, lecz ten na szczęście nie traci werwy.

– W takim razie należy sprawdzić, czy nie znajdziemy przejścia przez gruzowisko. Ty i ty. – Wskazał szczeniaka i mnie. – Sprawdźcie po obu stronach.

Chłopak zerka w moją stronę, a widząc, że ruszam spełnić polecenie, również się nie opiera. Prawdę mówiąc idę nie dlatego, że podoba mi się dyrygowanie mężczyzny z monoklem, choć ktoś taki zazwyczaj jest niezbędny, by nie zapanował ogólny chaos, ale z tego prostego powodu, że sam potrzebuję tej odpowiedzi. Nie zamierzam zostać w zawalonym budynku ani chwili dłużej, niż to naprawdę konieczne.

To, co niedawno było ścianą z łóżkami, teraz niemal przylega do sceny. Schylam się, a po zaledwie kilku metrach zmuszony jestem pełznąć. Na szczęście nie trwa to długo, bo po chwili przejście staje się tak małe, że nawet szczer miałby problem z przecięnięciem się głębiej. Szukam po bokach, ale sytuacja wszędzie jest podobna. Jeśli dzieciak nie ma więcej szczęścia, oznacza to, że zostaliśmy uwięzieni. Sytuacja nie jest bardzo poważna. Nic nie płonie, a na zewnątrz na pewno organizują się, by nam pomóc, jednak jest w oczywisty sposób nieprzyjemna.

Wracam na scenę. Stała się teraz całą dostępną nam przestrzenią. Na tyle dużą, by nie popaść w klaustrofobię, ale jednak na tyle małą, by czuć się uwięzionym.

– Po mojej stronie wszystko zawalone – melduję znacznie bardziej służbiście, niż zamierzałem. Cóż, wychodzą lata spędzone w wojsku. Nawet teraz, gdy już od dawna jestem cywilem, wiele ze starych nawyków pozostało.

Chwilę później dołącza do nas chłopak. Już po minie widać, że rezultat jego poszukiwań nie różni się od mojego. Nie mówi nic, kręci tylko głową.

Dla pewności – nie żebym nie wierzył pomocnicy Madame Cornelius – udaję się za scenę. Nie potrafię powiedzieć, jak wygląda to w innych teatrach, tu faktycznie napotykam tylko jedne drzwi. Solidnie zamknięte. Nawet nie dało się nimi zatrząść, co wydaje się aż dziwne. Zupełnie jakby ktoś umieścił klamkę na ścianie, jedynie malując wokół niej złudzenie wyjścia. Może i racja, że po drugiej stronie znajduje się kolejne zawalisko.

Wracam do reszty. Dzięki bogu nikt nie płacze. Jestem tak rozbity, że nie wiem, czy zniósłbym histerię.

– Proszę się nie niepokoić. – Dżentelmen z monoklem niezmiennie uspokaja sytuację.
– Pomoc jest już w drodze.

Nie potrafię powstrzymać się przed małym, złośliwym uśmieszkiem. Skąd to wie? Robi za medium? To domena Madame Cornelius. To ona teraz powinna wstać i wygłosić coś w rodzaju: *nie upadajcie na duchu, głosy z tamtej strony powiedziały mi, że ratunek jest bliski*.

Tyle że sprawia wrażenie osoby, która nie podejmie podobnej inicjatywy. Ba, żadnej inicjatywy. Może to wina wybuchu, który ją ogłuszył, w każdym razie wygląda biednie, jakby stała nad grobem. Podchodzę i widzę ją z tak bliska jak nigdy dotąd. Nie znajduję nawet śladu niedawnej jeszcze charyzmy. Mam przed sobą może jeszcze nie staruszkę, ale liczącą już swoje lata kobietę. Zmęczoną życiem, a może przybitą okolicznościami. Siedzi na krześle, głowę ma pochyloną, wzrok wbity w deski podłogi.

– Nic pani nie jest? – pytam odruchowo.

Potrząsa delikatnie głową. Jej usta poruszają się.

– Nie, dziękuję – szept jest ledwie słyszalny. – Weronika o mnie zadba.

– Gdyby jednak, proszę się nie krępować – odpowiadam, bo tak wypada. Wcale nie mam ochoty niańczyć starszej pani.

Zamierzam odejść, lecz medium zatrzymuje mnie ruchem ręki.

– Właściwie... – Uśmiecha się blado, ze skrępowaniem i przez moment odnoszę wrażenie, że patrzę wprost na obciągniętą skórą, wyszczerzoną trupa czaszkę. Mrugam, wrażenie pryska. – Czy pan też to czuje?

Czuję co?

Nie zadaję tego pytania, bo przecież w głębi siebie znam odpowiedź. Tak, otacza nas jakaś dziwna aura. Nie potrafię tego opisać, ani tym bardziej wytłumaczyć, lecz czuję, że coś jest nie tak. Bardzo, ale to bardzo nie tak.

Daj spokój, to tylko nerwy, staram się uspokoić wewnętrznie, jednak wysiłki okazują się daremne. Niepokój zwycięża.

Mimo to, starając się przywołać na usta uspokajający uśmiech, mówię:

– Nie rozumiem. Niczego nie czuję. Chodzi o jakiś zapach?

Widzę, że moje słowa uspokajają medium. Szkoda, że nie są w stanie uspokoić mnie. Gram błazna, dobrze wiedząc, że nie pytała o żadną woń. Ma na myśli coś subtelniejszego, a jednocześnie bardziej pierwotnego. Coś co sprawia, że atmosfera wokół z każdą chwilą staje się coraz bardziej duszna.

Chciałbym stąd się wydostać, ale nie ma jak uciec.

Skłaniam głowę i odchodzę kilka kroków. Tylko na tyle mogę się oddalić.

– Uporządkujmy nieco przestrzeń – komenderuje tymczasem człowiek z monoklem. Dobrze wiem, że sam nawet nie kiwnie palcem. To typ od rządu, nie od roboty. Nie protestuję, bo to jednak jakieś zajęcie. Ucieczka w pracę pozwalająca zabić kilka kolejnych minut. Dobrze i to, należy ufać, że wkrótce ktoś się do nas dostanie. Wokół teatru na pewno zebrały się już tłumy. Nie mam wątpliwości, że przystępują do szukania ocalałych, nas.

Więc dlaczego jest tak cicho?

Ta myśl uderza mnie, jakbym dostał cios kijem. Czy nie powinniśmy słyszeć jakichkolwiek odgłosów? Nawoływań, uderzeń kilofów, czy czego tam używają ci, którzy spieszą nam na ratunek?

Próbuję przed samym sobą wytłumaczyć ciszę faktem, że nie było dość czasu. Że tylko dla mnie od momentu wybuchu zdają się upłynąć godziny, a tak naprawdę minęła zaledwie krótka chwila, minuty.

– Podnieśmy stół – dyryguje dżentelmen. Puszczam mimo uszu tę liczbę mnogą, choć coraz bardziej mnie drażni. Ruszam do stolika. Sądzę, że wesprze mnie chłopak, lecz wyręcza go Weronika. Łapie stół z jednej strony, ja z drugiej. Odnoszę wrażenie, że gdyby chciała, podniosłaby go razem ze mną uczeponym na drugim końcu. Zagryzam wargę, by się nie uśmiechnąć.

Dopiero gdy stół zostaje ustawiony na nogach, zaczyna ponownie wywoływać u mnie negatywne skojarzenia. Do tej pory zupełnie o nim zapomniałem. Staram się dociec źródła odrazy, którą czuję, ale nie jestem w stanie. Po prostu ten mebel mnie irytuje, a nawet bardziej niż irytuje, lecz nie potrafię odpowiedzieć dlaczego.

Madame Cornelius przysuwa się do stołu. Kładzie ręce płasko na blacie i wydaje się, że to dodaje jej energii. Odżywa niczym ścięty i na wpół zwiędły kwiat, który ktoś wreszcie wstawia do wazonu z wodą. Jej bledłość ustępuje i ogólnie zdaje się nagle odmłodnieć o co

najmniej dekadę. Złapała grunt – myślę – bez swoich seansów spirytystycznych jest nikim. Małą, zgaszoną kobietą stojącą już nad grobem. To dzięki nim odżywa.

Jakby dochodząc do tych samych wniosków, jej pomocnica, Weronika, zbiera rozrzucone krzesła i przystawia je do stołu. Jakimś dziwnym zbiegiem okoliczności do użytku nadaje się równo siedem. Zanim teatr zatrzęsł się w eksplozji przygotowano ich dwanaście. Jedno dla Madame Cornelius i jedenaście dla wybrańców z widowni, których medium miała wskazać osobiście. Na tym polegało przedstawienie i tym przyciągała widzów – każdy mógł mieć nadzieję, że tego wieczoru to właśnie on zostanie wybrany i dane będzie mu porozumieć się z tamtą stroną.

Tamta strona...

Przechodzi mnie dreszcz. Nie rozumiem własnej reakcji. Co tu robię, skoro perspektywa takiej rozmowy wywołuje u mnie niechęć zmieszaną ze strachem? Mam ochotę wzruszyć ramionami. Pojmę to, gdy w pełni dojdę do siebie. Poza tym jakie to ma w tej chwili znaczenie? Może i niechętnie, ale zjawiłem się w teatrze. Teraz gra idzie, by się stąd jak najszybciej wydostać.

– Usiądźmy – proponuje jegomość z monoklem, a jego głos brzmi raczej jak nakaz.

Faktycznie, większość natychmiast to robi. Szczeniak, dwie kobiety, które wciąż trzymają się mocno za ręce, jakby rozluźnienie tego uścisku groziło co najmniej śmiercią. I, oczywiście, sam pan i władca. Na nogach pozostają ja i Weronika. A po chwili jedynie ja, bo pomocnica Madame Cornelius, widząc delikatne skinienie głowy swej pracodawczyni również dosiada się do stołu.

– A pan? – pyta medium, patrząc na mnie badawczo.

Nie chcę. Niezrozumiała siła wewnątrz mnie opiera się przed dołączeniem do pozostałych. Gdybym mógł, zapewne bym uciekł. Dał drapaką jak dzieciak obawiający się kary po szczeniackim wyskoku. Zostałem jednak uwięziony, a wszelkie drogi ucieczki odcięte.

– Wolałbym pozostać tu, gdzie jestem – mówię ostrożnie, dbając, by w głosie nie pojawiła się nutka paniki, a czuję, że jestem jej bliski.

Mężczyzna w monoklu spogląda na mnie groźnie i jakby z wyrzutem, ale milczy. Może boi się, że jeśli wyda mi polecenie, a ja nie usłucham, straci autorytet.

Madame Cornelius uśmiecha się z wysiłkiem.

– Oczywiście, jeśli taka pana wola, proszę zostać na miejscu. Ale ten stolik nie gryzie. Zapewniam.

Podchodzę niechętnie. Ręce opieram na krzesło, dociskając je z całej siły, jakbym miał nadzieję, że jednak jego konstrukcja jest naruszona i mebel połamie się na kawałki.

Wytrzymuje.

– Proszę usiąść – zachęca młodsza z kobiet i ciepło jej głosu, bardziej niż słowa medium, sprawia, że zajmuję ostatnie wolne miejsce. Rozglądam się na boki. Czuję się dziwnie. Siedzimy na scenie, wyspie otoczonej morzem gruzów, zgrupowani przy okrągłym stoliku. Poważni, z brudnymi twarzami. To wszystko wydaje się niesamowicie surrealistyczne.

Madame Cornelius i Weronika łączą dłonie. Widząc to ja swoje chowam pod blat.

– Pozostaje czekać – odzywa się dżentelmen.

– Uratują nas? – pyta piskliwie chłopak. Wydawał mi się nieco starszy, ale jak teraz na niego patrzę, to uznaję, że nie ma więcej niż czternaście lat. Może nawet mniej.

– Oczywiście. To tylko kwestia czasu.

Słowa mężczyzny z monoklem sprawiają, że siedzące naprzeciw niego młode kobiety uśmiechają się z wdzięcznością. Błady to grymas, mimo wszystko niepewny, ale zapewnienia wyraźnie podniosły je na duchu.

Ja bacznie przyglądam się medium i jej pomocnicy. Z twarzy Weroniki nie da się niczego wyczytać, ale Madame Cornelius wygląda na zaniepokojoną. Dostrzegam, że patrzy w moją stronę. Jej spojrzenie wyraża to samo pytanie, które zadała mi wcześniej.

Czy pan też to czuje?

– Weźmy się za ręce – odzywa się medium. Teraz wreszcie odrywa ode mnie spojrzenie, wpatruje się w innych.

– Chce pani przeprowadzić seans? – dziwi się mężczyzna z monoklem.

– Nie po to pan tu przyszedł?

Jegomość chwilę wierci się na krzesle.

– Dobrze – odpowiada wreszcie. – I tak możemy jedynie czekać. Warto wypełnić te chwile.

Chwyta dłoń siedzącego po jego prawej stronie szczeniaka, a drugą wyciąga ku mnie. Wszyscy utworzyli krąg, wyrwę stanowię jedynie ja. Czuję ich oczekiwanie, niemy nacisk, by postąpić za ich przykładem.

– To nie jest właściwa chwila – protestuję, odchylając się w tył.

– Proszę się nie opierać – wtrąca swoje trzy grosze mężczyzna z monoklem. – Zjawiliśmy się tu w tym celu i choć okoliczności są niesprzyjające, możemy jednak doprowadzić seans do skutku. Każdy, kto zapłacił za bilet, chyba chce...

– Zjawia się wielu sceptyków – przerywa Weronika, patrząc na mnie z trudem skrywaną pogardą. – Uważają, że mają do czynienia z szarlatanką. Pragną ją zdemaskować dla własnej sławy albo po prostu próbują zakłócić wydarzenie. A gdy przyjdzie co do czego, nie mają odwagi wziąć udziału.

Milczę. Po wybuchu nie rozumiem wielu rzeczy, nawet dotyczących mnie samego. Może pomocnica medium ma rację i stąd właśnie ten dziwny opór, jaki odczuwam.

– Wiesz, że lepszej chwili nie będzie. – Ciszę przerywa Madame Cornelius. Zdecydowanie kieruje te słowa do mnie, choć opuściła głowę, a oczy ma zamknięte. Sprawia wrażenie, że już wpadła w trans, a w każdym razie jest tego bardzo bliska.

– Gdy stąd wyjdziemy... – zaczynam niepewnie.

Medium gwałtownie otwiera oczy. Wzdrygam się, bo przez ułamek sekundy wydaje mi się, że są bladoniebieskie, niemal białe, jak u trupa. Wrażenie jednak szybko mija.

– Gdy stąd wyjdziemy – odzywa się, wymawiając wyrazy wolno, jakby z zastanowieniem. – Nigdy więcej nie spotkamy się w tym gronie.

Mógłbym przysiąc, że jej słowa należy rozumieć: *jeśli stąd wyjdziemy*. Nie pytajcie się dlaczego, nie wiem tego. Tak czuję. Narasta we mnie przekonanie, że Madame Cornelius dostrzega coś, na co my pozostajemy ślepi i głusi. Ja również chyba jestem bliski uchwycenia tego czegoś, lecz umyka mi to o włos. A może nie o włos, a o gruby pień sekwoi, lecz jednak odbieram to.

Przełamuję wewnętrzny i nie do końca zrozumiały dla mnie opór i biorę za rękę dżentelmena z jednej i młodszą z kobiet z drugiej strony. Jej rączka jest taka malutka, niczym dziecka. W sumie jest jeszcze dzieckiem, może rok czy dwa starszym jedynie od szczeniaka siedzącego przy medium.

– Nie wiem dlaczego to robię – oznajmiam głośno. – Ale dobrze.

Weronika rzuca mi kolejne pogardliwe spojrzenie, za to wzroku medium nie jestem w stanie rozszyfrować. Widzę w nim nutkę strachu, ale i czegoś w rodzaju ulgi. Jakby załatwiła jakąś sprawę, która do tej pory jej ciążyła. Nie sądzę, bym ja był tą sprawą i nie potrafię zgadnąć o co może chodzić.

Nie potrafię, ale zgadzając się na uczestnictwo w seansie, zapewne dowiem się, czy tego chcę czy nie.

– Skoro już przełamaliśmy pana pozbawiony logiki opór... – odzywa się Wiktoria mocnym głosem. To niemal pewne, że zamierza wygłosić jakąś formułkę, na której w niezliczonych seansach, którym asystowała, zdarła już gardło. – Proszę wszystkich o ciszę i skupienie. Niezależnie, co zobaczymy, zachowajcie spokój. Nie odzywajcie się, o ile pytanie

nie będzie skierowane wprost do was. I najważniejsze, cokolwiek by się działo, nie wolno nam przerwać kręgu.

Madame Cornelius przez moment siedzi nieruchomo z przymkniętymi powiekami, po czym jej ciało wygina się w łuk. Usta poruszają się, choć nic nie mówi. Zdaje się prowadzić niesłyszalny dla innych dialog z niewidzialną istotą bądź istotami. Wokół jakby robi się zimniej, choć może to jedynie subiektywne wrażenie wywołane oczekiwaniem, że odwiedziny kogoś z tamtej strony powinny mieć jakiegokolwiek symptomy oddziałujące na otoczenie.

Zerkam na zebranych przy stole. Siedzące po mojej lewej stronie młode kobiety przymykają powieki, może ze strachu, jakby nie chciały zobaczyć tego, co być może za moment im się ukaże. Dzieciak, siedzący między medium a dżentelmen z monoklem, przeciwnie, otwiera szeroko oczy, i sztywno obracając głowę, rozgląda się na boki. Tylko mężczyzna w garniturze wydaje się niewzruszony. Oczywiście nie wspominam o Wiktorii, stara wyjadaczka przeżyła zapewne dziesiątki, jeśli nie setki podobnych seansów.

A ja?

Sam nie wiem. Czuję się dziwnie, ale nie sposób tego opisać. Odnoszę wrażenie jakbym tonął. Nie brakuje mi tchu, po prostu... Po prostu czuję, że coś nadciąga i mnie otacza. Szczelnie i dokładnie, wypełnia całą przestrzeń.

– Czy jest tu ktoś z nami? – odzywa się wreszcie Madame Cornelius lekko drżącym głosem..

Stolik zdaje się chybotać, a może to drżę ja i pozostali.

– Kim jesteś? Wyjaw swe imię! – wzywa medium.

Żadna odpowiedź nie pada, w każdym razie ja jej nie słyszę, ale na moje oczy spływa obraz. Otula mnie. Zamykam powieki, by lepiej widzieć szczegóły. Jest niewyraźny, jakby zamglony. Zdaje się zanurzony w oparach dymu. Mętne zarysy przypominają sylwetkę strażaka, lecz wszystko jest zbyt nieczytelne, bym zyskał pewność. Mężczyzna – o ile to faktycznie mężczyzna – macha rękoma, jakby się od czegoś opędzał.

Chyba nie ja jeden odbieram ten przekaz. Słyszę przyspieszony oddech kobiet. Jegomość z monoklem mruczy coś niewyraźnie do siebie. Wizja prawdopodobnie jest wspólna, choć nie mogę wykluczyć, że im objawiło się coś innego.

Korci mnie, by przerwać krąg, ale podświadomie boję się konsekwencji. Poza tym nawet jeśli ja rozluźnię uścisk, to moi sąsiedzi trzymają mnie kurczowo. Ich palce pełnią sił zaciskają się na moich dłoniach. Nie mam pojęcia, czy zdołałbym się wyszarpać.

– Pozostań z nami – słyszę głos Madame Cornelius. Może mówi do zjawy, lecz wydaje mi się, że jednak do mnie. W jakiś sposób wyczuwa moją chęć dezercji.

– Ja? – pytam.

– Tak, ty – potwierdza. – Z twojej przyczyny się tu znaleźliśmy.

Nie rozumiem jej twierdzenia. Nadal nie potrafię przywołać zbyt wielu rzeczy sprzed wybuchu, zapewne potrzebuję czasu, by pamięć wróciła. Widziałem podobne rzeczy u żołnierzy, gdy walczyłem na wielkiej wojnie. Godziny, dni, a może tygodnie uleczą mnie, bo czas goi rany. Ponoć.

Dłonie mi się pocą.

– Nie przejmuj się. W zasadzie pragnę ci podziękować – ciągnie medium łagodnym głosem. – Bałam się. Bałam tej chwili. A ty sprawiłeś, że to po prostu się stało. Mimo całego mojego doświadczenia nie sądziłam, że aż tak łatwo przekroczyć granicę, że jedno następuje po drugim jak dzień po nocy. Naturalnie i gładko.

O czym mówi? Nie pojmuję ani słowa, lecz mój niepokój narasta. Ogarnia mnie panika.

– Nie rozumiem – szepczę gorączkowo.

– Też nie pojęłam od razu. Teraz uważam, że to zabawne. Nie wychwyciłam istoty różnicy, choć na moje usprawiedliwienie mogę powiedzieć, że samą różnicę wyczułam i sądzę, wbrew twym zaprzeczeniom, że ty także.

Czemu Madame Cornelius skupia się na mnie, nie na zjawie? Czuję, że dłużej nie wytrzymam. Mam dość! Chcę wstać!

– Jeszcze tylko chwila. Zaraz zrozumiesz. Patrz.

Ponownie dostrzegam strażaka, teraz już nie mam wątpliwości co do jego profesji. Przedziera się przez gruzy. Dociera do... Dłuższą chwilę zajmuje mi zrozumienie, co zjawa ma przed sobą, lecz wreszcie to rozpoznaję. Ludzkie szczątki. Straszliwie zmasakrowane ciało. Widzę wystające zebra, wnętrzości rozlane pośród odłamków cegieł. Twarz jest w takim stanie, że ciężko wychwycić jakiegokolwiek szczegółu. Chociaż...

Włosy. Szpakowate, poprządkane pasmami siwizny, krótkie włosy wydają się znajome, nawet teraz, gdy są brudne i potargane.

Odruchowo unoszę rękę, pragnąc dotknąć głowy, lecz uścisk mężczyzny w garniturze jest zbyt mocny.

To nie są moje włosy!

To nie jestem ja!

– Przyjrzyj się.

Tym razem odnoszę wrażenie, że głos medium płynie nie w powietrzu lecz przez krąg. Mówi do mnie myślami.

Posłusznie patrzę. Te nędzne szczegóły, które jeszcze da się rozpoznać, utwierdzają mnie w przekonaniu, że ma rację. Wszystko wydaje się znajome, zbyt znajome. Patrzę na siebie. Na własne szczątki.

Dopuszczając do siebie tę myśl, przełamuję tamę. Wokół narasta prąd, który ciągnie mnie ze sobą. Znika strażak i gruzy, widzę siebie w niezniszczonym jeszcze teatrze. Widzę i nareszcie rozumiem. Wracają dotąd ukryte wspomnienia.

Stoję na widowni tuż przed sceną, na której krząta się Madame Cornelius wraz ze swoją pomocnicą. Trwają ostatnie przygotowania do spektaklu. Jest już wielu widzów, ale jeszcze nie wszyscy. Uznaję, że to najlepszy moment.

Idealny, by zatrzymać to bluźnierstwo!

Idealny, by przerwać działalność kobiety, która urąga prawom boskim i ludzkim! Umarłych należy pozostawić w spokoju, należą do Stwórcy!

Wyciągam bombę, którą zamierzam rzucić na scenę, lecz w tym momencie świat zalewa błysk światła. Coś nie działa jak należy, ładunek eksploduje za wcześnie.

A potem znów wracają gruzy. Już nie widzę własnych szczątków, tylko inne ciała. Jest jegomość z monoklem, choć z samego monokla, jak i całej głowy, nie pozostało wiele. Są obie kobiety. Nie trzymają się za ręce, bo już nie mają rąk. Właściwie rozpoznaję je jedynie po sukniach, które noszą. Jest dzieciak w zbyt dużych ciuchach, być może po starszym bracie. Leży na brzuchu i przez moment wydaje mi się niemal nietknięty, aż wreszcie dostrzegam, że brak mu nogi. Z miednicy wystaje poszarpany, krwawy strzęp. Na scenie leżą martwe medium i Weronika.

Zrobiłem to, lecz w tym momencie nie czuję już dumy.

Jedynie przerażenie.

Jestem mordercą!

– Widzisz? – W moją głowę wdziera się szept Madame Cornelius.

– Widzę. – Dłużej nie mam sił zaprzeczać. Pragnę uciec, lecz teraz już wiem bezsprzecznie, że nie ma ucieczki. Zostanę tu na długo. Może na zawsze.

Medium przerywa krąg, uwalniając ręce siedzących obok. Patrzy na mnie. Wszyscy na mnie patrzą. Posępnie, z wyrzutem.

– Duchu, kim jesteś? Wyjaw swoje imię!



ZABAWY W PIWNICY

Iwona Serej

– Doktorze Potteli! Czy mogłabym prosić pana na słówko? Chciałabym porozmawiać o Anie.

James przystanął na moment, nieco zaskoczony. Zaraz jednak przywołał uśmiech na twarzy i stłumił iskrę irytacji. Śpieszył się.

– Idź, poczekaj przy wyjściu – powiedział do córki, po czym odwrócił się w stronę nauczycielki.

– Czy Ana sprawia jakieś kłopoty?

– Nie, skąd, to takie grzeczne dziecko. – Młoda kobieta poprawiła okulary. Zawinęła niesforny kosmyk włosów za ucho i mocniej ścisnęła trzymany w rękach dziennik. James znał ten typ kobiet. Podobał się jej. Przywołał jeden ze swoich czarujących uśmiechów.

– Ana w ostatnim czasie dużo mówi o swojej przyjaciółce, Eve. Początkowo bardzo mnie to cieszyło, biorąc pod uwagę... tragedię, jaka dotknęła waszą rodzinę. Ana raczej stroni od kontaktu z rówieśnikami w klasie. Ale niedawno zaczęła opowiadać o tym, że Eve mieszka w waszej piwnicy i nigdy nie wychodzi na zewnątrz.

James pokiwał głową i czarujący uśmiech płynnie przeszedł w ten przepaszający.

– Domyślam się, jak to musi brzmieć. Mogłem panią uprzedzić. To nowa wymyślona przyjaciółka Any. Zachęcam ją, jak mogę do zabaw z rówieśnikami, ale bez skutku.

– Oczywiście, tak podejrzewałam. Biedaczka.

James powoli zamknął drzwi. Z niemalym wysiłkiem powstrzymał się od trzaśnięcia drzwiami, ale na osiedlu było zbyt wiele wścibskich oczu. I uszu. Wbił wzrok w córkę, która stała jak sparaliżowana ze spuszczoną głową.

Nic nie mówił, po prostu na nią patrzył. Cisza przedłużała się, a z każdą kolejną sekundą dziewczynka zdawała się kurczyć w sobie. Gdzieś w oddali zatrąbił samochód. Stary zegar w holu zagrzemiał, wybijając pełną godzinę. Nad nimi skrzypnęła podłoga.

– Czy nie zabroniłem ci opowiadać o zabawach w piwnicy? – zapytał cicho James.

– Przepraszam, ojcze.

Kap. Kap. Kap.

James zmrużył oczy. Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w dziecko, które nie miało odwagi nawet drgnąć.

– Cholerny kran, musiałem go nie dokręcić – mruknął, po czym ruszył do kuchni.

Ana

Gdy ją minął, dziewczynka z ulgą wypuściła wstrzymywane powietrze. Odłożyła tornister na ławę, a buty tuż pod nim. Już miała odejść, ale cofnęła się. Poprawiła obuwie – jeden z pantofli leżał nieco zbyt wysunięty do przodu. Ana nie chciała ryzykować większego gniewu ojca.

Umknęła w głąb domu. Stąpała niemal bezszelestnie. Znała każdą skrzypiącą deskę i wiedziała, których unikać. Była w końcu grzeczną dziewczynką, a ojciec nienawidził nieznośny dzieci.

Gdy zobaczyła uchylone drzwi do jego pracowni, zatrzymała się. Lękliwie obejrzała się przez ramię. Nasłuchiwała.

Bum. Bum. Bum. Serce głośno dudniło w jej piersi. Przygryzła wargi. Wiedziała, że powinna pójść do swojego pokoju, ale tym razem wygrała ciekawość. Ostrożnie podeszła i zajrzała.

Ciarki niepokoju wstrząsnęły drobnym ciałem, gdy dziesiątki par oczu wbiły w nią martwe spojrzenia. Zrobiła krok do przodu. Podłoga skrzypnęła. Ana zamarła, gotowa do ucieczki, ale nie usłyszała na korytarzu znajomych odgłosów.

Rozejrzała się po pokoju – wielobarwna sierść, gibkie ciała zamarłe w różnych pozach, ślepia o pionowych źrenicach. Odszukała swojego ulubieńca. Uśmiechnęła się, gdy dostrzegła rudo-białego kota na stoliku pod oknem. Siedział dumnie wyprostowany, ogonem owinał przednie łapy. Dziewczynka nadała mu imię Bob. Z pewnym smutkiem przypominała sobie, jak kocur kiedyś bawił się wełnianą piłeczką. Znalazła go niedaleko i przyniosła do domu gotowa błagać ojca, aby ten pozwolił jej zatrzymać zwierzaka.

James jednak nie powiedział nic, wziął kota na ręce i zniknął w swojej pracowni. A Bob już nigdy więcej nie usiadł na jej kolanach z zabawką.

James

Czekała, aż ją zauważy. James uniósł wzrok znad gazety i spojrzał na córkę przelotnie. Odczekał kilka długich minut, zanim w końcu opuścił czasopismo i wbił w nią niechętnie spojrzenie.

– Tak?

– Ojczy, czy mogłabym się pobawić z Eve?

Milczał. Gdy patrzył na opuszczoną głowę, jasnej sukienkę, która nie miała nawet plamki i schludnie uczesane włosy, przeszło mu przez myśl, że dobrze wychował swoją córkę. Jego żona nie była w stanie tego zepsuć.

Już niedługo. Mocniej ścisnął gazetę i założył nogę na nogę, gdy poczuł znajome dreszcze i prądy sunące w kierunku podbrzusza. Odchrząknął, odganiając myśli i marzenia, w których nie mógł się jeszcze zanurzyć.

– Niech będzie.

Wstał i ruszył w stronę korytarza. Gdy stanął pod wejściem do piwnicy, z kieszeni spodni wyciągnął okazały pęk kluczy. Dwukrotnie przekręcił zamek, po czym pchnął skrzydło. Ana posłusznie weszła pierwsza i stanęła przed kolejnymi drzwiami. Ciężkie i stalowe nie pasowały do starego wiktoriańskiego domu, ale James był ostrożny. Kupił je w sąsiednim mieście, za gotówkę i samodzielnie zamontował – nie chciał wzbudzać zainteresowania wścibskich sąsiadów.

Otworzył oba zamki i dał znać córce, aby weszła. Ana powoli przekroczyła próg i na moment obdarzyła go jasnoniebieskim spojrzeniem. Zmarszczył brwi.

Wygląda coraz bardziej jak jej matka, pomyślał. Nagły impuls sprawił, że zacisnął dłoń na drobnym ramieniu. Zaczął głośno oddychać, gdy chęć i pragnienie walczyły ze zdrowym rozsądkiem. Wbił palce w chudy obojczyk, a dziewczynka pisnęła.

To go nieco otrzeźwiło.

– Idź – powiedział chrapliwie. Zmusił się do zabrania ręki i patrzył, jak córka schodzi po drewnianych stopniach do piwnicy.

Ana

Dziewczynka na miękkich nogach zeszła do piwnicy. Nie do końca rozumiała, co właśnie się wydarzyło, ale śliski niepokój, który rozlał się po ciele i przylepił do skóry, sprawiał dyskomfort. Sztywna i pełna napięcia stanęła na ostatnim stopniu, a gdy w końcu usłyszała zgrzyt zamykanych drzwi, wzdrygnęła się. Pozwoliła sobie na to, dopiero gdy miała pewność, że on nie patrzy.

Chwyliła rąbek spódniczki i zaczęła go nerwowo ugniatać. Zaraz jednak zrugowała samą siebie i opuściła ręce wzdłuż ciała – grzeczne dziewczynki nie miały pomiętych sukienek.

– Eve? – zapytała, rozglądając się po ciemnej piwnicy. U sufitu wisiała naga żarówka, której nikłe światło odkrywało zaledwie kawałek betonowej podłogi. Reszta pomieszczenia tonęła w mroku i Ana z trudem rozróżniała kontury mebli poustawianych pod jedną ze ścian.

Skrzypnęła sprężyna w materacu.

– Ana? Już myślałam, że więcej nie przyjdiesz.

Z mroku wyłoniła się drobna i wychudła postać. Ciemne, skołtunione włosy były niemyte od jakiegoś czasu. Sukienka, którą, jak pamiętała Ana, jeszcze niedawno miała czystą i pachnącą, teraz nosiła liczne plamy, a na ramieniu ciągnęło się spore rozdarcie. Duże oczy patrzyły na nią w sposób, którego mała Potteli nie rozumiała. Wiedziała jedynie, że Eve była od niej kilka lat starsza.

Ana podeszła bliżej i chwyciła przyjaciółkę za rękę.

– Przecież obiecałam!

– Udało się? Powiedziałaś o mnie innym... w szkole?

Potteli pokiwała głową, ale zaraz zmarszczyła brwi i spuściła głowę.

– Nie uwierzyli ci – powiedziała głucho Eve, a wątle ramiona zgarbiły się jeszcze bardziej. – Nie uwierzyli.

– Spróbuję jeszcze raz! Nic się nie martw, ja cię nie opuszczę!

Mocno ścisnęła przyjaciółkę, po czym pociągnęła ją na koc. Tam, już rozłożony leżał jej ulubiony zestaw do parzenia herbaty oraz kilka misiów. Ana podniosła biały porcelanowy dzbanek, który dostała od mamy i zaczęła udawać, że rozlewa napój do filiżanek.

– Truskawkowa, twoja ulubiona! – powiedziała, gdy Eve usiadła na kocu, ale nie podniosła swojego kubeczka. – Eve!

Pociągnęła więźniarkę za ramię, chcąc zwrócić jej uwagę.

– Kończy mi się czas. Wiem to. Już mnie nie stroi, nie chesze, znudził się.

Ana zeszytniała i pokręciła głową. Wróciła do rozlewania herbaty. Tym razem to Eve chwyciła jej ramiona i lekko potrząsnęła.

– Nie rozumiesz? Jeśli stąd nie ucieknę, to nie będziemy się już razem bawić. Kiedyś zejdiesz tutaj i mnie nie będzie. Musisz się bardziej postarać, komuś powiedzieć, otworzyć drzwi, cokolwiek...

Ana powoli pokręciła głową.

– Przecież mówiłam, że ja cię nie opuszczę. Będziemy się bawić z resztą.

Uśmiechnęła się promiennie i wyswobodziła ręce. Przez chwilę zerkała jeszcze na przyjaciółkę, ale zaraz wróciła do zabawy. Zaczęła nucić.

– Resztą?

Ana

Zbudził ją hałas na parterze. Jęknęła cichutko i przetarła oczy. Zaczęła nasłuchiwać. Rozróżniła znajome skrzypienie metalowych drzwi i stękanie ojca, który coś dźwigał. Długa chwila ciszy. Wtedy do jej uszu dotarł warkot silnika samochodu.

– Eve – wyszeptała, patrząc na podłogę, jak gdyby mogła przebić wzrokiem sufit i zajrzeć do piwnicy. Dziwnie spokojna opadła z powrotem na poduszki.

Uśmiechnęła się i wtuliła nos w poduszkę – wiedziała, że przyjaciółka już jej nie opuści.

Ana

Ściągała buty szybciej niż zwykle. Prawie zapomniała sprawdzić, czy na pewno stoją równo. Podniecenie niemal rozsadzało ją od środka, ale wiedziała, że musi zachować spokój. Ojciec nie lubił, gdy biegała. To była kolejna z jego zasad.

– Ojciec... – powiedziała, choć wiedziała, że nie znoślił, gdy odzywała się, zanim zdjęła płaszcz.

Prawie odetchnęła z ulgą, gdy surowej twarzy nie wykrzywił żaden grymas. Miała szczęście.

– Mogłabym się pobawić w piwnicy?

Przez chwilę milczał. Ana spuściła pokornie głowę i splotła dłonie. Powstrzymała chęć niecierpliwego przestępowania z nogi na nogę.

– W porządku – powiedział w końcu.

Tak jak poprzedniego dnia, otworzył przed nią dwie pary drzwi. Dziewczynka zbiegła po schodach, zapominając, że nadal jest obserwowana. Uświadomiła sobie, że nie słyszała zgrzytu przekręcanego zamka, ale podniecenie i radość wygrały.

– Eve! – zawołała.

Odpowiedziała jej cisza.

– Eve? Nie bój się, to ja, Ana. Teraz już wszystko będzie dobrze.

Gdzieś z lewej usłyszała cichy szloch. Wkroczyła w cień i po omacku ruszyła w kierunku starego łóżka, które jeśli dobrze pamiętała, powinno stać w rogu.

– Eve?

Wzrok Any przyzwyczał się do mroku. Wyciągnęła drobną dłoń i dotknęła zimnej łydki starszej dziewczynki.

– Już dobrze, mówiłam, że ja cię nie opuszczę.

– Nie rozumiem – szepnęła więźniarka.

Ana chwyciła ją za rękę i zaprowadziła na środek piwnicy. Spojrzała badawczo na nienaturalnie bladą przyjaciółkę. Musnęła palcami jej sukienkę, która od wczoraj nabawiła się kilku kolejnych rozdarć. Z troską spojrzała na sińce i zadrapania na rękach. Pogładziła ogromną fioletową pręgę na szyi Eve, a drugą dłonią mimowolnie sięgnęła do swojej. Jakaś dziwna myśl przemknęła przez dziecięcy umysł, ale dziewczynka nie potrafiła jej nazwać.

– Muszę ci kogoś przedstawić. One już cię znają, czuwały nad tobą, gdy ja nie mogłam, a teraz nareszcie możesz je zobaczyć!

Ana rozejrzała się na boki i zachęcająco zamachała dłońmi. Wokół niej błysnęło kilka par martwych oczu, z których wзираł smutek. Z cienia wyszły drobne postacie, wszystkie w podobnym wieku lub niewiele starsze.

– To jest Lucy – Potteli przedstawiła najmniejszą z nich. Była do niej bardzo podobna. Jasne włosy zdobiła niebieska kokarda, a chude nogi – białe i podarte rajstopy. – Jest z nami najdłużej!

Eve przyglądała im się z półotwartymi ustami. Nierozumiejącym wzrokiem wodziła od jednej do drugiej. Każda miała takie same rany na szyi.

– Teraz w końcu możemy bawić się razem. – Ana klasnęła w dłonie. Zebrała misie z podłogi i odrzuciła je w kąt, robiąc miejsce dla przyjaciółek.

– Ana... – zaczęła Eva. Chwyciła ją za ramiona i lekko potrząsnęła. – Musisz komuś powiedzieć, będziesz następna. On...

Dziewczynka tylko pokręciła głową.

– Wtedy nareszcie będziemy razem – powiedział kobiecy głos.

Z mroku wyszła jeszcze jedna postać. Dorosła kobieta w cienkiej koszuli nocnej miała ziejące rany ciągnące się od połowy ręki aż po same nadgarstki.

Ana podbiegła do matki i mocno ją objęła. Uśmiechnęła się ufnie, gdy poczuła dotyk lodowatych palców głaszczących ją po głowie.

– Gdybym tylko miała dość siły, aby zabrać ją wtedy ze sobą.



ZROZUMIEĆ PANA

Feranos

Podnoszę powieki. Przez otwarte źrenice wrzynają się blaski promienistego oka światła.

Wzdragam się, czując jego kojące, uspokajające muśnięcia. Odwieczny symbol dobra. Dobra, siły i Boga.

Wzdragam się, nie dlatego, że tym słońcem gardzę. Wzdragam się, dlatego, że każda jego chwila zbliża mnie do jego braku, chyba.

Tak mi się wydaje.

Przede mną kolejna szalona noc. Kolejna noc z obłąkanym panem Twardowskim.

Nie śpię. Nie wiem od jak dawna, od ilu dób. Nie pamiętam, kiedy ostatnio spałem. Nie jestem w stanie tego policzyć. Wiem tylko, że widziałem dużo promieni słonecznych przezierających się przez moje powieki. Karmiących się moją bezsennością.

Jak na złość świeci ono cały czas. Żadnych chmur, deszczu, burz.

Jedynie bezustannie nieustanne słońce.

A może świeci tylko teraz? Może tak naprawdę utknąłem w terażniejszości? Może wydaje mi się, że skoro teraz jest jasno, to od zawsze jest jasno... zawsze jasno było?

Jak długo w ogóle tu jestem?

Boże mój jedyny, od jak dawna ja tu jestem?

A może... może nam się udało? Może w końcu Twardowski przywołał Mammona, Vapula albo samego Samaela? Może mu się udało?

Nam... nam się udało!

Udało się... nam.

Boże, zlituj się nade mną.

Patrzę w sufit, choć słońce razi mnie w oczy. Patrzę, ponieważ w taki sposób trwam. Może gdybym zamknął oczy, może bym usnął, choć na chwilę.

Lecz nie mogę, nie mogę ich zamknąć.

Czuję jakby pod powiekami ktoś skrył mi mielone szkło, kiedy je zamykam trzeszcza jak stawy starca.

Patrzę w sufit i mam wrażenie jakbym widział samego siebie leżącego na tym łożu. Widzę się z góry, jakbym był duchem, choć... choć nie widzę. Patrzę w sufit, mrużę oczy rażone słońcem.

Nie mogę spać, nie mogę wstać.

Czekam po prostu kolejnej nocy. Nocy, podczas której wykreślimy na klepisku kolejne kręgi. Szeroki z soli, węższy ulany z wosku, najmniejszy wyrysowany kredą. Przecinające je pentagramy z piasku i mąki.

Znowu będziemy inkantować i śpiewać, odcyfrowywać stare księgi z hebrajskiego, arabskiego czy łaciny. Śpiewać, wyć, modlić się i błagać.

Dlaczego biorę w tym udział? Jaki jest właściwie mój cel? Co staram się tym osiągnąć?

Sam już nie wiem.

Kiedy pan Twardowski mnie odnalazł...

Nie napisał do mnie, on mnie po prostu odnalazł. Wszedł, spojrzał na mnie tak, jakby mnie szukał, a ja wiedziałem, że ja też szukałem jego. Zupełnie jakby zło, które staramy się sprowadzić na ten świat pokierowało naszym losem.

Nie wiem czy to dobry omen, raczej wszystko wskazuje na to, że zły, ale czym jest zło, jeśli nie jedynie konfliktem interesów?

Czy taki obsypujący złotem Mammon może być zły, niszcząc głód?

Czy Paimon dający wiedzę na temat Boga, demonów, ale też ziół i lekarstw może być zły?

Czy zły może być Vapula dający wynalazki, czy Zagan uczący jak zmienić żelazo w złoto? Czy oni mogą być źli?

Zapytajcie wojowników, rycerzy ginących na wojnach co jest większym złem: złoto czy żelazo?

Zapytajcie tych, którzy umarli od powietrza morowego, czy lekarstwa i zioła nie są dobrem?

W końcu zapytajcie żebraków gnijących po świątyniach, czy złoto jest złe.

Czy nie największym złem jest śmierć sama w sobie?

Może Samael nas zniszczy?

Jak duża jest na to szansa?

Myślę, że jeden do dwóch.

Jeśli kazał się nam odnaleźć...

Jeśli rzeczywiście kazał się nam odnaleźć samemu losowi, Sefirotowi, greckim Moirom czy komu tam jeszcze, komukolwiek. Jeśli rzeczywiście kazał się nam odnaleźć to po co?

Może obdaruje nas życiem wiecznym?

Na pewno, dlaczegóż by miał nas zabijać? Po co miałby nas na siebie naprowadzać? Zabić mnie mógłby być żebrak, drab, chłop, ktokolwiek. Mogłem umrzeć we śnie.

Jednak coś nas tu sprowadziło, ktoś i po coś.

Może kogoś zabiję kosztem drugiego? Będę musiał zabić? Ja wtedy musiałbym zabić pana Twardowskiego, ale czy dałbym radę?

Nie wiem, nie jestem gotów na taką ofiarę.

Nie jestem gotów na żadną ofiarę.

Co, jeśli otwieramy bramę Samaelowi? Co, jeśli ofiarą nie jestem ja czy pan Twardowski, ale reszta świata?

Nie, to chyba niemożliwe.

A pomyśleć, że chciałem być tylko bliżej Boga, pana mojego, zrozumieć działanie *makrokosmos* i *mundus*. Zrozumieć pana.

Patrzę w sufit i widzę malunki, ale nie takie jakie widziałem w Wiedniu, Rzymie czy choćby Budapeszcie.

Tutaj widzę prawdziwe malunki Boga, nie stworzone przez człowieka, a przynajmniej nie celowo. Widzę w tym wzory, pejzaże chaosu, stworzone niepewną ręką chłopca wapnującego sufit na odwal.

Chaos to może złe słowo. To malunki porządku, którego jeszcze nie rozumiemy wznoszące się niczym katedra.

Zamykam powieki trzeszczące jak stara drewniana podłoga i choć wolałbym, żeby się nie podnosiły, one się unoszą.

Nie śpię, patrzę. Patrzę w sufit. Patrzę i myślę o tym, co mnie czeka w nocy, o misji, którą sobie wybrałem, choć wydaje mi się, że raczej to on, mój pan. Myślę o tym, że nie zasnę i już nigdy nie odpocznę.

Chciałbym się ruszyć, ale czuję jedynie niemoc i ból.

Nic nie czuję, oprócz drzazg w oku moim.

Coś muszę zrobić.

Nie zasnę, bo jestem zbyt zmęczony. Nawet kiedy ostre promienie słońca zrywają ze mnie płaszcz strachu. Nadal jestem zbyt zmęczony, żeby przestać się bać.

Boże, jestem twoim najwierniejszym sługą, dlaczego doświadczasz mnie najbardziej?

Czy zbłądziłem swoją myślą? Mową? Uczynkiem? Zaniedbaniem?

Dlaczego sprowadziłeś mnie na tę drogę?

Na drogę pana Twardowskiego, tego przeklętego zrozpaczonego głupca.

Skupiam całą swoją wolę, żeby wstać.

Odliczam.

Trzy.

Dwa.

Jeden.

Podnoszę się z łóżka trzeszczącego jak moje powieki i podnoszę się z bólem. Czuję ten ból w kolanach, kostkach, łokciach. W moich zgarbionych plecach, czuję się jak starzec, choć mam dopiero dwadzieścia dziewięć lat.

Może pozwolą mi wyjść na dziedziniec? Niczego więcej nie oczekuję. Choć strażnicy pana Twardowskiego mogą być nieubłagane.

Wstaję i ciągnę się ku drzwiom.

Opieram ołowianą rękę o kutą stal klamki. Naciskam walcząc z bólem. Kiedy rozbrzmiewa zgrzyt stali, mam wrażenie, że to zgrzyt moich rąk.

Wychodzę na korytarz. Właściwie schody, które ciągną się niczym biblijny wąż ku dnom Giudecci.

Sunę dłonią po nierównej cegle i podeszwami sandałów po powierzchni krzywych schodów.

Jakby każdy dzień wysysał ze mnie życie, jakby było mnie coraz mniej we mnie. Jakby przestawał istnieć.

Może to się już dzieje? Może Samael mnie pochłania, aż pochłonie mnie całego? Przebije się przez ściany dzielące światy i postawi stopę na naszej ziemi, w ogrodzie dla wypędzonych z raju?

Czy pan Twardowski też tak wygląda? Czy on też się tak zachowuje?

Próbuję sobie przypomnieć jego obliczę, ale nie mogę. Jedyne co pamiętam to słońce. Oślepiające słońce oraz okno i skryte w nim oko.

Szaleństwo zamknięte w źrenicach obserwujące nas przez wyrwę dzielącą rzeczywistość. Wygląda jak zwykła ciemność, ale nie ma nic zwykłego w tym zakętym mroku.

Początkowo, kiedy pierwszy raz nam się udało, nie zobaczyłem nic niezwykłego, nie usłyszałem. Po prostu czułem strach, ale jakby nie mój własny, a strach wyciekający z ciemności, cienia pośrodku migoczącego blasku świec. Ta skondensowana, na pozór zwykła czerni nosiła w sobie wszystkie znamiona niczego wyjątkowego i nicości samej w sobie.

Kiedy ją obserwowałem zaczynałem widzieć, czy może rozumieć ideę otchłani będącej domeną demonów. Cierpienia, którym wybrukowane są piekielne piwnice. Bólu, złości.

A to wszystko przecież tylko po to, by zrozumieć Pana.

Powinienem przestać. Nie zbliżam się do niego, wręcz oddalam.

Oddalam się od Pana najbardziej jak się da.

Czy ja jeszcze mam drogę ucieczki?

W tej wieży, tych kazamatach, czuję się żywy. W tej ciemności. Tutaj mogę odpocząć.

Siadam na schodach, a ból jakby przechodzi, trzaski znikają jakby naoliwione czernią.

Światło mnie zabija.

– Panie, proszę, pomóż mi. To nie moja wina. – Składam ramiona do modlitwy. – To nie jest moja wina. To ten pan Twardowski, to jego demony nas tu sprowadziły. Panie mój, błagam, ja chciałem cię tylko zrozumieć. Chciałem być bliżej ciebie, twój blasku.

Brzydzi cię mój blask, brzydzisz mnie pyle.

Nie wiem czy to moje myśli czy boska odpowiedź, ale...

Czy ma to znaczenie?

Wstaję.

Wyjdę do ogrodu. Może strażę, o ile są ludźmi, mi pozwolą.

Pan Twardowski, kiedy go pierwszy raz zobaczyłem, wyglądał jak miriady nieszczęść.

Ja też nie wyglądałem najlepiej.

Kiedy nasz wzrok spotkał się w przytułku, widziałem w nim coś intrygującego. Jakiś błysk. W tym pustym, martwym miejscu, gdzie znajdowali się ludzie o pustych, martwych oczach on jeden miał żar, siłę, moc.

Ciągnęło nas do siebie.

– Wyjdźmy stąd – powiedział, a ja przytaknąłem. Miałem już dość tego miejsca.

Nie wiem jak to się stało, że wyszliśmy. Kogo przekonał, czy kogoś zabił, czy otruł?

Po prostu wszedł pewnego dnia do mojej celi, obudził mnie i powiedział:

– Chodźmy.

Wstałem i wyszedłem. Szliśmy korytarzem, schodami kręconymi w dół, takimi jak te tutaj. Uciekliśmy z tej wieży błaznów.

Nikt nas nie zatrzymał, nikt nas nie zapytał. Po prostu pan Twardowski wstał i nie było nikogo innego. Żywy duch opuścił to miejsce.

Czy już wtedy miał komitywę z demonami?

Nie wiem. Nie wiem, nie wierzę w to. Wyglądał na zrozpaczonego.

Po drodze opowiedział mi swoją historię.

Parę schodów przed rozświetlonym wejściem staję. Prostokąt pustych drzwi żarzy się jak słońce samo w sobie, paraliżuje mnie, choć i koi.

Nie ma straży, nie ma nikogo, kto powstrzymałby mnie przed wyjściem, ale czy ja siebie sam nie powstrzymam?

Robię krok.

Kolejny.

Dotykam sandałem białego od światła, roziskrzonego kamiennego schodka.

Stawiam stopę w świetle i czuję ból, jakbym postarzał się o milenia.

Czy stałem się potworem? Dzieckiem nocy pijącym krew? Czy stałem się demonem krocącym pomiędzy żywymi? Czy siła Boga, Pana mojego, którego kocham ponad życie mnie umartwia?

– Panie mój, proszę, daj mi siłę.

Robię kolejny krok.
Nie ugnę się.
Świecę światłem słońca, lecz oczy skrywam w mroku.
Nie wierzę, żebym był przeklęty, lecz nadal czuję lęk.
Panie, przyjmij mą spopieloną duszę!
Robię krok i czuję oślepiający strzał. Jakby tysiąc armat huknęło we mnie, lecz żyję.
Nie płonę.
Uśmiecham się do siebie.
– Dziękuję ci panie.
Uśmiecham się do Pana i stworzenia jego.
Wychodzę do ogrodu. Rozglądam się. Nigdzie nie widzę straży. Może nigdy ich tu nie było? Może to był jakiś dziwny sen? Nieporozumienie?
Nie, nie wiem. Nie mogę sobie przypomnieć twarzy nikogo z nich. Może mieli hełmy? Może nie patrzyłem? Może nie mieli twarzy?
Idę zasiąść w cieniu drzewa, tuż obok krzewów dzikich jeżyn. Oddycham wreszcie powietrzem dnia, a nie lochów czy zamkowych wież.
Siadam i obserwuję.
Choć dzień jest ciężki, staram się nim rozkoszować. Obserwuję mury i dziury okien, czerwoną dachówkę. Patrzę na wieże strzelające ku niebu.
Ale przecież nie na to chciałem patrzeć. Odwracam się i widzę krzewy, ich łodygi uginające się od owoców.
Patrzę w niebo błękitne jak *okeanos*, dom Lewiatana.
Drzewo. Dąb, patrząc po korze. Dotykam opuszkami palców chropowatości. Widzę mrówki maszerujące długimi rzędami.
Patrzę czy nie siedzę na mrowisku.
Ale nie, nie, nie siedzę.
Szkoda byłoby nieuwagą zabić dzieci Boże, nawet takie małe, tak jak uczył święty Franciszek.
Dotykam chropowatej kory i zamykam oczy. Wyobrażam sobie siebie rozkoszującego się słońcem, ale widzę tylko ciemność.
Ciemność, ta kula otchłani, która czai się na mnie z mroku, migotliwego cienia rzucanego przez światło świec. Kiedy to nie zobaczyłem czy wyczułem, ale ogarnął mnie ból uciekający spomiędzy szpar łączących sfery.
Wtedy wziąłem wdech...

Wzięłem wdech i zanurzyłem się w ten ból, żal, lęk. Miałem wrażenie jakby mnie to porwało i wtedy chyba zrozumiałem, że jest za późno.

Otwieram oczy i widzę dębową korę. Widzę mrówki idące w górę i dół, układające się we wzory, szlaki i szlaczki. W matematyczne oka otchłani, czysty chaos udający boski porządek.

– Dlaczego mnie uwolniłeś? – pytam pana Twardowskiego.

Jedziemy konno. Jechaliśmy konno. Uciekliśmy z przytułku, a ja nie wiem, jak wyszliśmy, dlaczego i skąd mamy konie.

Nic właściwie, nic nie pamiętam. Co się stało? Dokąd jedziemy?

– Kochałeś kiedyś kogoś? – odpowiedział pytaniem na pytanie.

– Tak – odrzekłem, bo całe moje serce należało i należy do Pana.

– Ja też kochałem. Kochałem ją na zabój i poświęciłem dla niej wszystko. Ojciec nigdy by jej nie akceptował, zwykłej chłopki. Powiedział, że jak się z nią ożenię, to mnie wydziedziczy, rozumiesz to?

Słuchałem go, ale tak jak słucha się szumu rzeki. Strumyka, który gdzieś płynie, ale nie wszystkie nuty mają znaczenie.

A może właśnie wszystkie mają znaczenie? Może wszystkie miały znaczenie?

Jechałem konno, uciekałem z przytułku, do którego mnie wtrącono.

Nie miałem już na dłoniach kajdan. Nie musiałem się nikogo bać. Bóg przebaczył mi morderstwa. Bóg mnie do nich zmusił. Bóg wie, że to wszystko w imię jego. Wszystko by do niego dotrzeć, ogrzać się w jego świetle. Wszystko po to, by zrozumieć Pana.

– Zamordowałem go – mówił pan Twardowski. – Zamordowałem mojego ojca i moją matkę. Otrułem ich po prostu, zmarli we śnie śmiercią godną, choć tchórzliwą. Zabiłem własną rodzinę dla niej, rozumiesz to?

Nie rozumiałem, jak uciekliśmy. Dlaczego nie było straży? Czy już wtedy był w komitywie z nimi? Z Samaelem, z Asmodeuszem, Baphometem?

Nie, nie mógłby. Nie potrzebowałby mnie. Po to jestem mu potrzebny.

– Zabiłem moją rodzinę dla niej. Tych, którzy mnie kochali, opiekowali się mną, wychowali mnie. A on i tak ją dopadł. Cała moja ofiara na nic. I wilk martwy i owca martwa.

– Co? – zapytałem.

Ale tym razem nic nie odpowiedział.

Jest ciemno, pusto. W oknach nie świeci się światło, nie pali się żadna świeca. Jest martwo, jakby nikogo tu nie było.

Co ze strażami?

Dotykam opuszkami palców porowatej kory dębu, ale nic nie czuję.

Wstaję i ruszam z powrotem, skąd przyszedłem. To był dobry dzień, dzień spędzony w świetle, ogrodach Pana, piękny. Wśród zieleni, świeżego powietrza. Wśród dzieła, stworzenia.

Znów mam dwadzieścia dziewięć lat.

Artretyzm i inne bóleści znikają, mijają, jak ręką odjął.

– Dokąd idziesz? – pyta mnie pan Twardowski.

Odwracam się w jego stronę.

Obserwuję mrok skumulowany w równą kulę, zbity w otwór prowadzący przez bramy strachu do krainy odrzuconych i nie wygnanych.

Tych, których Elohim odrzucił, ale nie wygnał ze swoich ogrodów.

– Dokąd idziesz? – pyta znowu pan Twardowski.

Odwracam się w jego stronę.

Tym razem naprawdę go widzę. Stoi z księgą. Wznosi ją na wyprostowanej ręce, jak najwyżej, jakby dumnie, choć przecież dumy w tym nie ma. Jest tylko ból po stracie Pana.

Ból, żal, lęk.

Przekleństwo i śmierć.

– Jesteśmy blisko. Wszystkie nasze marzenia się spełnią! Samael odda mi ją. Jakubie! Wszystkie nasze marzenia się spełnią! Wszystko się spełni.

Czy to błogosławieństwo? Czy to przekleństwo?

Ogarnia mnie lęk, a może... może to złe słowo. Lęk odczuwa się przed nieznanym, przed czymś co nas czeka, a mnie ogarnia świadomość tego, że mój los jest przesądzony, że nic już tego nie zmieni, nic mnie nie uratuje.

To wszystko było bluźnierstwem, a *makrokosmos* nigdy nie będzie dla mnie. Co najwyżej *abyssos*.

Panie, chciałem tylko cię zrozumieć.

Mrok przyciąga mój wzrok. Wchłania mnie, ale nie fizycznie. Wchłania moją duszę, moją świadomość.

Widzę siebie stojącego i wpatrującego się z mierzającą mnie niezmiernością kulę otchłani.

– Czego chcesz, panie Twardowski?

– Ja chcę? Chcę, żeby ona żyła! – krzyczy. Jego oczy nie mają już tego blasku, nie mają też pustki. One płoną szaleństwem, tą otchłanią. Płoną jak cały ten mrok przemawiający ludzkim głosem.

– Tylko tyle? – mówi głos Samaela, Azazela albo Beliala. – Tylko tyle chcesz z mojego świata?

– Nie wiem. – Widzę, że jest zagubiony, jakby przerażony, podekscytowany.

Ogarnięty szalem.

– Nie wiem! – krzyczy. – Nie wiem! A czego mogę chcieć? – pyta, krzyczy właściwie.

– A czego mogę chcieć?!

Patrzę na niego przerażony. Ja chciałem tylko poznać Pana, a on chce wszystkiego.

NIE POZNASZ PANA NIGDY, JAKUBIE. PAN TOBĄ WZGARDZIŁ.

– Możesz chcieć wszystkiego – odpowiada otchłań, jakby przykrywając swoim głosem, słyszalnym ludzkim uchem głos słyszalny uchem duszy.

– Wszystkiego! – krzyczy ten biedny dureń, pan Twardowski. – Chcę wszystkiego!

– A ty? – pyta mnie, ale jakby z pogardą dokańczając: – Jakubie?

– Ja chcę zrozumieć Pana! – krzyczę. – Pana, zrozumieć Pana!

– Czas zapłaty nadejdzie w Rzymie – mówi czarna dziura.

Patrzę w sufit, oślepia mnie promieniste oko Boga.

Widzę malunki, ale nie takie jakie widziałem w Wiedniu, Rzymie czy choćby Budapeszcie.

Tutaj widzę prawdziwe malunki Boga, nie stworzone przez człowieka, a przynajmniej nie celowo. Widzę w tym wzory, pejzaże chaosu stworzone niepewną ręką chłopca wapnującego sufit na odwal.

Nie, nie! To już było. „Chaos” to nieodpowiednie słowo. To malunki porządku, którego jeszcze nie rozumiemy, wznoszące się niczym katedra.

Patrzę w te linie, kropki i wypukłości. Obserwuję ich zagadkowość, złożoność, zmienność.

Widzę kreski, które się ze sobą łączą, przecinają. Lecz teraz... teraz jakby żyły, wiły się, rysowały na moich oczach. Jakby boska ręka chama kreowała wszystko, absolutnie wszystko na moich oczach.

Widzę, jak powstaje światło i mrok. Tysiące, miliony gwiazd białych i czarnych rozsuwa się od siebie. Walczą ze sobą, pochłaniają się wzajemnie. Świetliste punkty i punkty mroku wirują wokół siebie w tańcu i choć tak bardzo się od siebie różnią, oba zwiastują tylko śmierć.

Biały blask wyrywa się z sufitu wprost w moje oczy, moją duszę, ale nie jest on taki jak słońce, która pożera mnie żywcem, postarza, jak czas.

Ten blask daje mi ukojenie, jest jak fizyczna emanacja spokoju. Jak świętość, anielska pieśń, jak koja z piór.

Widzę światy morfujące, dorastające na moich oczach. Życie kwitnące i ewoluujące, rodzące się i zamierające.

Widzę dłoń, która przenika do mnie przez sufit. Gładzi mnie po czole, uśmiecha się do mnie.

Wiem, czuję, widzę, rozumiem, że jest tylko jedno zło, a jest nim śmierć i jedno dobro, a jest nim życie. Wszystko łączy się teraz w mojej głowie, duszy, skleja, układa.

Bóg, Pan nasz stworzył to wszystko po to, by móc nas kochać!

Panie! Dziękuję!

Boże! Kocham Cię!

– Panie... – charczę, leżąc na łóżku.

Słońce świeci mi w oczy, a ja nie mogę przestać patrzeć. Powieki trzeszczą mi jak stawy starca.

Patrzę. Nie mogę wstać, nie mogę spać. Tylko leżę i cierpię.

Zamykam powieki trzeszczące jak stara drewniana podłoga i jak na złość, one się znów podnoszą.

Patrzę na sufit, na malujące się na nim wzory i myślę o tych malunkach, które widziałem w Wiedniu, Budapeszcie i Rzymie. Myślę o tym, że już nigdy ich nie zobaczę. Nigdy nie spojrzę na freski w kaplicy Sykstyńskiej.

Myślę o świętym Piotrze w Okowach. O tym, jak byłem tam na pielgrzymce. O tym jak stanąłem w tym gmachu, jak urzekły mnie te barwy to życie, jak...

Ktoś łapie mnie za ramię.

Odwracam się.

Jest ciepły słoneczny dzień, choć w bazylice jest chłodno. Mam na sobie habit. Jestem tu wraz z bratem Benedyktem i bratem Pawłem. Oni byli już tu wcześniej.

– Piękne, prawda? – mówi brat Benedykt po włosku.

– Widziałem wiele cudów świata, ale to przerasta moje wyobrażenie. Jak Bóg może nas tak kochać, że daje nam takie dary?

– Zobaczysz co będzie, jak zobaczysz kaplicę Sykstyńską – mówi brat Paweł z uśmiechem.

Jest starszy od naszej dwójki. Pochodzi z Czech, ale poznaliśmy się w Budapeszcie. Lubię go, choć bardzo dużo mówi o Kabale.

O Samaelu, Valefarze i Aamonie. Mówi, że skoro jest tyle rodzajów aniołów, to jako słudzy Boży powinniśmy mieć też wgląd w to jakie są demony. Skoro istnieją Cherubiny i Trony, które powinniśmy chwalić i ich słuchać, to powinniśmy umieć odróżniać je od tych upadłych. W końcu ludzkie oko nie zna grzechu, gdy je widzi. Dopiero sercem da się zobaczyć zło.

Czy ma to sens? Ciężko powiedzieć.

– Nie mogę się doczekać – odpowiadam, kryjąc ekscytację.

Wstrzemięźliwość jest cnotą.

Podnoszę głowę. Patrzę na freski. Widzę świętego Piotra w Okowach.

– Czekałem na ciebie – mówi głos otchłani.

Podskakuję przerażony. W jednej chwili wszystko sobie przypominam.

Nie jestem dziewiętnastoletnim mnichem, który właśnie przybył na pielgrzymkę do Rzymu. Jestem dwudziestodwuletnim mordercą, zbiegiem, bluźniercą, który zawarł pakt z demonem.

Jak?

Jak on mnie tu dopadł?

W moich wspomnieniach?

Niebo spływa krwią. Pęka jakby było skorupką od jajka. Chmury rwą się, a ich fragmenty spadają w ognistym deszczu, pochłaniając za sobą świat.

Wiatr zrywa się, wichura porywista pożerając budowle, budynki, drzewa.

Słońce gaśnie. Bóg zamyka swoje oko.

– Nie! – krzyczę. – Nie! Nie możesz! Nie możesz! Nie możesz! Mnie tu nie ma!

Brat Paweł i brat Benedykt patrzą na mnie zdziwieni.

– Bracie. – Słyszę ich słowa, ale jakoś inaczej. Głos, nawet nie wiem kogo, przytłumiony, jakbym był w innym pomieszczeniu.

Skoro oni są tam? A ja tu, gdzie niebo płonie i krwawi, to gdzie ja właściwie jestem?

Gdzie ja jestem?

– W domu – odzywa się otchłań. – Jesteś w moim i swoim domu.

– Nie! Nie możesz, nie jestem w Rzymie. To tylko wspomnienia. Jestem w zamku pana Twardowskiego, w wieży, zamknięty.

– Tu? – pyta głos.

I jesteśmy.

Jestem.

Leżę na łóżku.

Słońce razi mnie w oczy, a powieki nie chcą się zamknąć. Trzeszczą i skrzypią, lecz nie chcą się zamknąć.

– Tam?

Znów niebo krwawi nad placem świętego Piotra. Ogień pożera rzeczywistość.

– Gdzie?

– Nie możesz! Ja tam byłem! Nie jestem! Byłem tam, na tym placu, byłem w tej bazylice, ale jestem gdzie indziej, nie ma mnie tam! Nie ma mnie tam! Nie ma mnie tam! Nie ma mnie tam!

– Mogę, jesteś tu w swoich wspomnieniach, w przeszłości, jesteś i będziesz. Oto ja, Samael, Omega. Przede mną nie ma ucieczki.

– Nie możesz!

– Czas to mój sługa.

– Nie możesz!

– Bracie! – Słyszę jeden z głosów, gdzieś jakby z innego świata. Jakby światy się ze sobą zlewały, przelewały, pokrywały się na sobie, sobą. – Bracie, przestań krzyczeć! Bracie!

– Zwariował, oszalał. – Słyszę drugi głos. – Ale tu, w domu Pana?

Słyszę ich, widzę. Szamoczę się, szarpię. Biegam w kółko. Padam na ziemię.

Czuję dotyk, wiatr. Czuję słońce na swojej skórze. Twardy, zimny marmur. Miękkosć szat. Czuję twardą rękojeść zimnej stali.

Nie! Nie!

– Nie! – krzyczę.

– Już wiesz, skąd się tu wzięłeś?

Już pamiętam, pamiętam, jak trafiłem do celi. Pamiętam. Krwawe niebo, krwawy szaf i krew płynącą po bruku. Pamiętam zamarłe w wiecznym przerażeniu oczy brata Benedykta i brata Pawła.

Pamiętam ich śmierć.

– Już wiesz, skąd się tu wzięłeś? – pyta mnie głos z otchłani.

– Nie! – krzyczę tnąc gardło brata Pawła. – Nie! – Wbijam sztylet w serce brata Benedykta. – Nie! Nie! Nie! Nie możesz! Nie mogłeś! To się jeszcze nie wydarzyło!

– Ja mogę wszystko. A ty zrozumiałeś Pana i tak spłacasz swój dług.

Padam na ziemię.

Gdzie ja jestem? Co się stało?

Brat Paweł? Brat Benedykt?

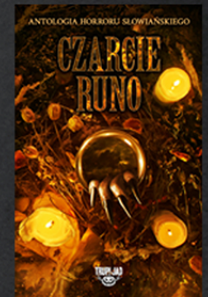
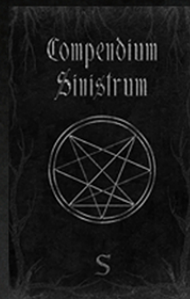
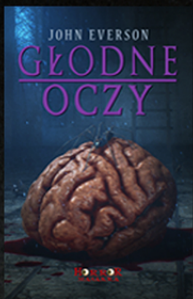
Co się stało?

– Pomocy! – krzyczę wskazując na ciała. – Pomocy! Pomocy! Niech im ktoś pomoże!
– Rozglądam się, patrzę na swoje ręce całe we krwi. – Co? Ja? Nie. Nie, nie, nie, nie, nie, nie,
nie. Ja bym nie mógł. Ja... ja nie, dlaczego? Nie. Pomocy!

– Straże! Straże! – Słyszę krzyki.

Dlaczego? Czy to ja? Czy to ja ich zamordowałem? Dlaczego? Panie, dlaczego? To jakiś test? To jakiś sprawdzian? Panie, nic nie rozumiem. Nic nie rozumiem. Oddałbym wszystko, żeby to zrozumieć. Zrozumieć cię Panie.

Oddałbym wszystko, żeby zrozumieć Pana.



GRAFIKA | OKŁADKI | PLAKATY

✉ jo.widomska@gmail.com

📘 By Widomska 📷 by_widomska

